

A 2897 II

sigma

Σ 7 —57—
1973/74

MAGAZYN PROBLEMOWO-INFORMACYJNY
POLITECHNIKI WROCŁAWSKIEJ



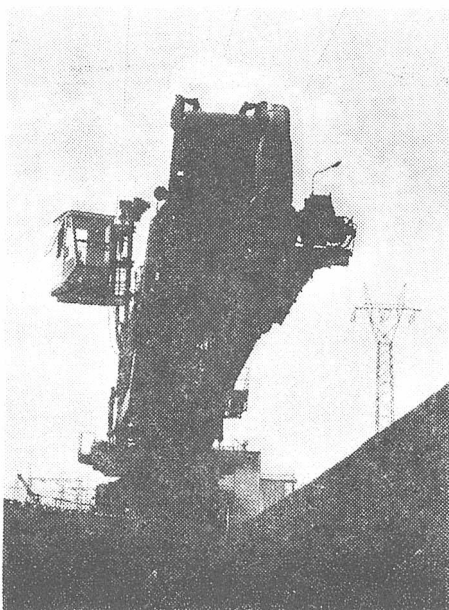
wielkie programy

Minęły trzy lata funkcjonowania systemu organizacji badań naukowych, charakteryzującego się m.in. sterowaniem rozwoju badań poprzez system tzw. Wielkich Programów Badawczych. Zwróciliśmy się do Prorektora d/s Nauki i Współpracy z Przemysłem, prof. dr habil. inż. WACŁAWA KASPRZAKA z prośbą o krótką wypowiedź na temat.

Jakie ogólne pozytywne treści wniosła realizacja Wielkich Programów w organizację badań naukowych na Uczelni?

Po pierwsze; udało się udowodnić, że na Uczelni można przeprowadzać koncentrację kadr na wielką skalę wokół bardzo niewielkiej ilości celów i prowadzić badania w pełnych cyklach rozwojowych. Wykazały to zarówno doświadczenia w prowadzeniu programu WASC jak i Hydrometalurgii. Po drugie; dzięki realizacji wielkich programów renowacja naukowa naszej Uczelni znacznie wzrosła, szczególnie w dziedzinach, w których te programy były prowadzone. Osiągnęliśmy tu skutki wprawdzie trudno wymierne, ale zauważalne wyraźnie. Trzeci sukces, który jest związany z realizacją wielkich programów, to intensywny wzrost środków na badania naukowe w Uczelni. Wzrosło więc w sposób istotny uzbrojenie techniczne Uczelni w aparaturę importowaną i drogie instalacje badawcze. Szczególnie zostało ono zwiększone w dziedzinie informatyki. Osiągnięto ten sukces przy realizacji programu WASC.

Fot. J. BACHRIJ



Są to wyraźnie odczuwalne pozytywne aspekty realizacji wielkich programów. Czy w trakcie realizacji wielkich programów dały się zauważyć pewne braki tego systemu?

Z całą pewnością można powiedzieć, że zaangażowaliśmy w realizację wielkich programów ogromne siły organizacyjne, tj. administracyjne. To zaangażowanie dotyczyło problematyki nie bezpośrednio związanej z podstawową działalnością Politechniki Wrocławskiej, ale w wielu wypadkach po prostu związane było z interesami gospodarki narodowej. Byłoby to może mniej kłopotliwe, gdybyśmy mieli lepszą sytuację lokalową i rozwiązane problemy powierzchni na laboratoria i pracownie. Zatrudniani specjalnie do rozwiązywania problemów organizacyjnych ludzie (specjalnie, bo te problemy nie obciążają przecież kadry naukowej) sami pracują w trudnych niezmiernie warunkach lokalowych. Jest to jeden z największych mankamentów tego systemu. Wielkie programy będą w najbliższym czasie omawiane na posiedzeniu Senatu i innych ciał kolegialnych, gdzie dokona się ich wnikliwej analizy i oceny. Usłyszymy wtedy szeroki głos opinii pracowników naukowych naszej Uczelni.

Dotychczasowa realizacja wielkich programów pokazała, że kryją się jeszcze w nich ogromne rezerwy, których uruchomienie wymaga zwiększenia — jak to się ślicznie mówi — „potencjału przerobowego”, czyli po polsku — zwiększenia ilości pracowników naukowo-badawczych i naukowo-technicznych. Czy realizacja wielkich programów pozwala na zwiększenie zatrudnienia w tych grupach pracowniczych i co to zatrudnienie ogranicza?

Możliwości przyjmowania pracowników mamy praktycznie biorąc ograniczone jedynie powierzchnią lokalową w Uczelni. Szansa podniesienia produkcji naukowej istnieje w każdej chwili. Wiele ofert z przemysłu zmuszeni jesteśmy odrzucić, istnieje także możliwość zwiększenia naszego udziału w realizacji programów węzłowych. Na przeszkodzie jednak stoi szczupłość pomieszczeń uniemożliwiająca przyjęcie potrzebnej ilości pracowników. Fundusz płac tutaj nas nie limituje.

Jak wygląda dzisiaj przyszłość wielkich programów, a dokładniej tych, których realizacja dotychczasowa była w zasadzie poświęcona na przygotowanie warsztatu naukowego i kadry do podjęcia szerokich badań w przyszłości?

Wielkie programy kończą się z chwilą zrealizowania celów, do których zostały powołane. Program WASC był planowany do roku 1978 i do tego okresu są dla niego sformułowane cele. Dziś już wiadomo, że Politechnika Wrocławska będzie dalej pracować w podobnym zakresie (też w ramach wielkich programów) z tym, że zostaną sformułowane oczywiście inne cele, a sam program będzie miał być może inną nazwę. Hydrometalurgia kończy badania wg pierwotnego programu też w końcu przyszłej pięcioletki, w tzw. pełnym cyklu rozwojowym.

Górnictwo natomiast jest programem prowadzonym wstępnie, nie ma ono w pełni sprecyzowanych celów. Jest to jakby przygotowanie do realizacji właściwego wielkiego programu.

Ochrona Środowiska ma częściowo sformułowane cele na bieżącą pięcioletkę, a także wiadomo, że będzie na pewno realizowana w przyszłej pięcioletce. Jest to program, który na pewno warto w Politechnice Wrocławskiej kontynuować.

Inżynieria Materiałowa planowana jest tak, by w tej pięcioletce przygotować bazę w Uczelni do podjęcia w przyszłej pięcioletce realizacji szerokich badań.

Aktualnie więc można mówić o wielkich programach w przypadku Hydrometalurgii, Prognoz i WASC-u oraz częściowo Ochrony Środowiska. Natomiast w przyszłej pięcioletce, a może nieco wcześniej — prócz omówionych wyżej, rozpoczniemy prace nad programem Budownictwo.

— Serdecznie dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał:
JANUSZ M. PAWLIKOWSKI

W ZDROWYM CIELE...

Jarosław Karkulewski

Spróbuję podjąć temat stary jak świat, pamiętający jeszcze czasy „przedhistoryczne”, a mianowicie kwestię usportowienia młodzieży akademickiej. Zdaję sobie sprawę, że już na ten temat napisano epistoly, ale chciałbym spojrzeć na tę sprawę pod innym kątem. Jaki jest stosunek studentów do ruchu sportowego. Jakie jest zaangażowanie, jakie inicjatywy itp.

Spójrzmy i prześledźmy, co spotyka nowo upieczonego członka rzeszy studentek, który chciałby utrzymać się przy zdrowych siłach i dobrej kondycji fizycznej przez okres pięcioletniego pobytu na naszej uczelni. Ma on nadzieję, że wreszcie zetknie się ze sportem na wyższym poziomie niż u siebie w prowincjonalnej niekiedy szkole, bo ze sportem akademickim. Dziwi go co prawda fakt, że jego koledzy z lat wyższych noszą przed sobą niekiedy dość już duże brzuchy, ale myśląc, że może to od piwa lub po prostu od zwykłego „negactwa sportowego”, patrzy z ufnością w przyszłość. Niestety jest ona jednak, jak sam się przekona, bardzo szara i gnuśna. I jeśli nie wykaże on maksimum samozaparcia, duży brzuch będzie nie tylko udziałem jego współtowarzyszy niedoli w próbach sportowego zmagania się o kilka milimetrów mięśni.

Ala dość tych dywagacji, powróćmy do naszego optymisty. Na pierwszym semestrze ma dwie godziny zajęć „wychowania fizycznego” (nie jest tak źle) z ewentualną zamianą na możliwość uprawiania jakiejś dyscypliny sportu w jednej z rozlicznych sekcji AZS-u. Tę drugą ewentualność pozostawia on jednak na później i uczęszcza na te dwie godziny w tygodniu na wf. Ma, a jakże, do wyboru szereg dyscyplin: kajakarstwo, piłkę nożną, lekką atletykę, kulturystykę itp. I chodzi, a że trzeba chodzić, to fakt, no bo sankcjonuje to regulamin i chęć zdobycia tej oceny bardzo dobrej.

Półki lato (październik), bega nasz Kowalski po stadionie — daleko od uczelni, bo daleko, ale zawsze jest. Wraz jednak z ochłodzeniem następuje pierwsze uderzenie „w łeb”. Chciałoby się do sali, oj chciało, ale niestety nie ma gdzie.

Cwicz więc Kowalski w dusznej sali w Gmachu Głównym albo w jakiejś szkole podstawowej. I powinien się cieszyć nawet z tych dwóch godzin, bo ostatnio wraz z rozpoczęciem roku akademickiego okazało się, że lata pierwsze nie mają zajęć wf-u. Dlaczego? Nie wiem.

Przebrnął pierwszy semestr, obył się trochę z uczelnią, zaczął radzić sobie w trudnych sytuacjach, ma więc teraz więcej czasu i może poświęcić więcej uwagi swemu ciału.

Wstąpił w szeregi AZS-u, tu możesz spożytkować swoje siły witalne — głoszą plakaty rozwieszone przez sekcję propagandy w/w związku. Chcesz po-

plywać, proszę bardzo. Interesuje cię może gimnastyka, piłka nożna, siatkowa, koszykowa, ręczna, dżudo itp. itd., również i to możesz uprawiać w wyżej wspomnianych warunkach lokalowych.

Student po przebrnięciu pierwszego roku jest przytłoczony otrzymaną partią wrażeń i trochę zbity z tropu zastaną sytuacją. I właśnie w tym momencie ma on okazję do wykazania się inwencją i tzw. zaangażowaniem. Znał mi się grupy zapaleńców (sam zresztą do nich należałem), które organizowały sobie regularne spotkania w piłkę nożną, siatkową. Jest to jednak drobny margines, do sportu masowego jeszcze bardzo daleko.

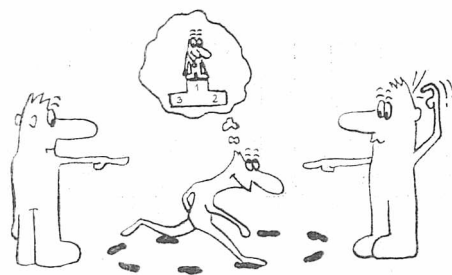
Studenci mieszkający w akademikach są jeszcze w najlepszej sytuacji, bo mają do dyspozycji przez 4 godz. (ostatnio już tylko 2 godz. tygodniowo) salę gimnastyczną, mogą w lecie uprawiać gry w piłkę, bo sprzęt jest na stanie w akademikach. Ale co się dzieje z pozostałymi grupami oraz studentami — obcokrajowcami? Nic, są skazani na własną pomysłowość, a koniec końców ze sportem czynnym żyją na bakier.

Nie uratuje sytuacji AZS ani Komisja Sportu i Turystyki Rady Uczelnianej organizując wyrwykowe imprezy. Ekspres-narty, rozgrywki na śniegu w piłkę, ligi instytutów i zabawne imprezy — naukowcy kontra studenci itp., to niestety przysłowiowa kropla w morzu. Nie chodzi nam przecież o tę parającą się sportem garstkę zapaleńców, dla której są ligi i rozgrywki, ale tę resztę, z której jeśli się jej nie rozrusza, będziemy mieli — że użyję niezbyt wytwornego określenia — skapcanych inżynierów magistrów. Brak jest imprez masowych na szeroką skalę, które wciągnęłyby całą młodzież do ruchu.

Pojawiła się ostatnio bardzo cenna inicjatywa godna naśladowania: „bieg po zdrowie”. Zainicjowali ją mieszkańcy D.S. „Fosik”. Byłoby dobrze gdyby podjęli ją komisje sportu w innych akademikach. Jest miejsce i są możliwości ku temu. Oto pole do popisu dla działaczy sportowych. Zorganizowanie raz na semestr jakiegoś meczu niezeszonych, to za mało, panowie aktywiści.

Czy ktoś wie cokolwiek o naszych poczynaniach? — Garstka ludzi, i to najbardziej zainteresowanych. A gdzie jest sport masowy, atmosfera sportowa? — W zaulku, i to bardzo ciemnym. A w końcu to was wybrano do kierowania sportem akademickim. Pochwalcie się więc imprezami masowymi, w których m.in. zobaczylibyśmy naszych czynnie uprawiających sport kolegów w konfrontacji np. z niezrzeszonymi, pochwalcie się może innymi „przedsięwzięciami”.

Działacze KTiS SZSP, AZS i K.S. w Radzie Mieszkańców nie współpracują ze sobą, w końcu chyba



Rys. PoGi

cel mają wspólny. Poza tym dlaczego KTiS SZSP ogranicza się do turystyki?

AZS — gdzie jest wasz program? przedstawcie go (chodzi o działalność masową), łamy „Sigmy” stoją np. otworem.

K.S. przy R.M. róbcie coś, a nie tylko rozgrywki ping-ponga w 6-osobowym składzie.

Sport masowy, to wasze enfante terrible, można jednak unormować. Znana jest chyba wszystkim stara prawda, że spokój ducha i kontrolę swej psychiki osiąga się przez uprawianie ćwiczeń sportowych.

zachodnie 1 + 2

To jest historia jakby zachodnia
Bo na zachodzie zdarzyła się
Zachodnie miasto w zachodniej

Polsce
Piastowski Wrocław jest dla niej tłem

Dziewczyna była także zachodnia
Nawet zachodni nosiła ciuch
A że wrocławską miała urodę
Dziewczyna jedna była ich dwóch

Z pierwszym spotkała się pod iglicą
Drugiego znała z trasy W-Z
Z pierwszym spędzała dni nieparzyste
Z drugim w parzyste bawiła się

Z jednym Świdnicką ciągle
chadzała
Z drugim w Szczytnicki biegła
park
Tak ta sielanka trwała i trwała
Aż nagle zburzył ją losu traf

Znienacka trzeci wszedł na jej drogę
I zapomniała o tamtych dwóch
Całkiem przypadkiem gdzieś w
„palacyku”
Trafiła nagle na serca dmuch

Morał z historii zaś tej wynika
Jeśliś z Wrocławia pamiętaj go
Gdy dwóch się kocha we
wrocławiance
Wygrywa na tym ten trzeci ktoś

JERZY DOMARADZKI

(Godło: „Mietek”)

(II nagroda w konkursie na tekst piosenki)

LUDZIE i NAUKA

nauka motywy i postawy

Kontynuując cykl „Ludzie i Nauka” poświęcony istotnym sprawom środowiska akademickiego publikujemy dziś za „Problemami”*) wypowiedź prof. Pawła Siergiejewicza Aleksandrowicza z Uniwersytetu Moskiewskiego, członka Akademii Nauk ZSRR, dotyczącą działalności naukowej pracowników naukowo-dydaktycznych wyższych uczelni.

Jeśli człowiek parający się nauką będzie swoją działalność pojmował we właściwych aspektach (...) to dużo łatwiej będzie nam walczyć z wielkim niebezpieczeństwem „naukowej nadprodukcji” (...), która wydaje mi się jednym z największych niebezpieczeństw naszych czasów. (...)

Dziś nie tylko pracownicy naukowi, ale i wykładowcy wszystkich wyższych uczelni zobowiązani są do nieprzerwanej realizacji wszelakiego rodzaju planów pracy naukowej (...).

Nieustanna kontrola pracy naukowej jest naturalna i zupełnie uzasadniona w odniesieniu do pracowników naukowych sensu stricto — owych „inżynierów nauki”, którzy pracują nad rozwiązywaniem bezpośrednio im zadanych, konkretnych problemów (...) Natomiast wymagania narzucone odgórnie i kontrolowane za pomocą mechanizmu różnego rodzaju sprawozdań z działalności naukowej — są nienaturalne i nieuzasadnione w stosunku do wykładowców szkół wyższych, prowadzą bowiem w konsekwencji do wspomnianej już przeze mnie nadprodukcji nikomu nie potrzebnych prac i rozpraw naukowych.

Słyszysz się często: „Jaki z niego wykładowca wyższej uczelni, skoro nie pracuje naukowo?” (niektórzy mówią „twórczo”, tak jakby praca dydaktyczna nie była pracą twórczą!). Być może, mówiący w ten sposób mają słuszość i człowiek nie prowadzący żadnej pracy badawczej rzeczywiście źle wykłada. Nic prostszego — oceniamy więc go za jego pracę na podstawie jej wyników, tego, czy dobrze, czy też źle uczy studentów, a nie na podstawie ilości publikacji (...) Nie chciałabym, aby pomyślano, że jestem przeciwny temu, by wykładowcy wyższych uczelni prowadzili pracę naukową. Jestem po pro-

stu przeciwny traktowaniu jej jako obowiązku, wszelkiego rodzaju „naukowej sprawozdawczości”.

Największy kłopot zaczyna się wtedy, gdy pisanie pracy naukowej, tzn. kompletowanie wykazu własnych prac naukowych, a w szczególności pisanie pracy doktorskiej, staje się celem samym w sobie.

W związku z tym uważam, że motywem i zarazem impulsem do pisania jakiejkolwiek pracy naukowej powinno być, albo dążenie do wnieśienia do nauki czegoś nowego i pożytecznego, albo też zupełnie bezinteresowne dążenie do poznania prawdy, owa męcząca naukową dociekliwość, ciekawość nie dająca człowiekowi chwili spokoju dopóty, dopóki nie zostanie zaspokojona, a więc dopóki nie zostanie rozwiązany problem, który ją zrodził. (...)

Oczywiście, oba przytoczone tu motywy pracy naukowej, a więc bezpośredni pożytek wynikający z rozwiązania określonego problemu oraz to, co nazwałabym ciekawością naukową, mogą wspierać się z sobą współdziałać. (...) To też o sprzeczności pomiędzy nauką czy stałą i stosowaną mówić mogą jedynie ludzie ograniczeni lub opętani skłonnościami do wypowiadania ekstrawaganckich sądów. (...)

Uważam, że wysoki poziom kultury osobistej jest dla wykładowcy uniwersyteckiego niemniej obowiązujący niż jego własne osiągnięcia naukowe. Prawie wszyscy rzeczywiście wielcy uczeni, którzy weszli do historii, spełniali wymienione przeze mnie wymagania. Owszem, były i wyjątki, ale i one potwierdzają jedynie regułę. (...)

Natchniony stosunek do nauki właściwy jest każdemu prawdziwemu uczonemu — w każdym razie w aktywnym, twórczym okresie jego życia. Jest on

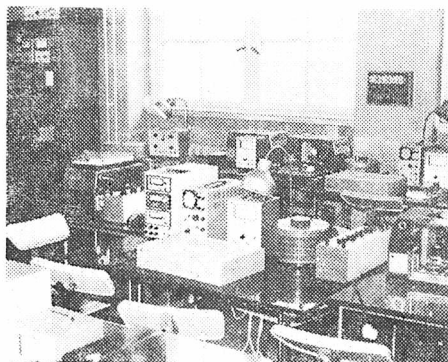
jednak możliwy tylko wtedy, kiedy nauka zupełnie pochłonie zajmującego się nią człowieka. To właśnie miał na myśli Pawłow, mówiąc iż „nauka wymaga całego człowieka”.

Istnieją jednak osoby bezspornie utalentowane i uzyskujące nawet niewątpliwie wartościowe i poważne osiągnięcia naukowe, a zarazem nie odpowiadające takiej interpretacji określenia „uczony”, jaką starałem się tu przedstawić. Egzystują niestety naukowcy, którzy „swoją” naukę oglądają poprzez pryzmat własnych osiągnięć; ludzie, którzy — parafrazując znane słowa Stanisławskiego o sztuce — „kochają nie naukę w sobie, lecz siebie w nauce”. W związku z tym ma miejsce niezdrowe zjawisko „prywatnego” podchodzenia do nauki, które nawet rzutuje na działalność pedagogiczną. W rezultacie zubożone zostaje następne pokolenie uczniów. Zjawisko to spotyka się w każdym wieku. Bywa i tak, że nie występuje w młodości, a zaczyna się rozwijać w dojrzałym bądź podeszłym wieku, przechodząc czasem wprost w naukową chępliwość, swego rodzaju „naukowe skąpstwo”, nakazujące odwoływać się jedynie do własnych prac (...) Brak ogólnej kultury i związany z tym brak nawyku myślenia o rzeczach nie związanych bezpośrednio z wąskim z reguły przedmiotem własnej działalności naukowej i kompletne nieprzemyślenie zadań i celów pracy naukowej — wszystko to potęguje jeszcze rozwój licznych naukowych „potworności”, paradoksów, egzystujących i w naszych czasach w świetle nauki.

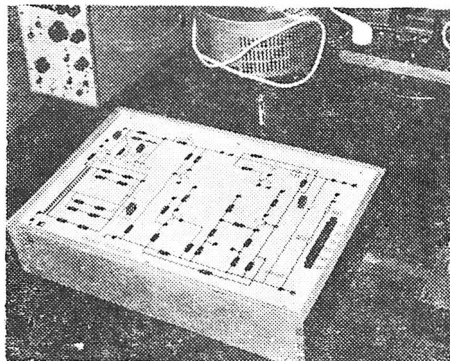
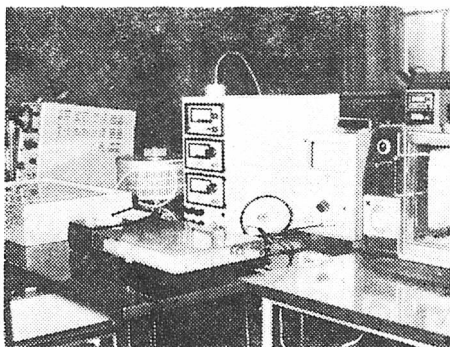
*) PROBLEMY, nr 7 (328) 1973 s. 61—64 [fragmenty]

Fot. J. BORTKIEWICZ





LABORATORIUM OTWARTE



Zdjęcia: J. MARTAN

W lutowym numerze „Sigmy” prezentowaliśmy przykład nowoczesnie zorganizowanego laboratorium w Instytucie Cybernetyki Technicznej. Zjawiska takie sprawiają satysfakcję nie tylko bezpośrednio zainteresowanym, ale i ludziom „z boku”, bo przecież są to kroki w kierunku postępu w dydaktyce. Ostatnio zaczęły do nas docierać sygnały o innych nowoczesnie zorganizowanych laboratoriach. I to jest chyba miernikiem szerszego przewrotu, jaki dokonuje się w dziedzinie dydaktyki na naszej Uczelni. Jedną jaskółka nie czyni wiosny, ale gdy jest ich więcej...

Dziś prezentujemy laboratorium elementów elektronicznych przyrządów pomiarowych przy Instytucie Metrologii Elektrycznej. Koncepcję i zasady działania laboratorium wyjaśnia doc. dr Hanka Karkowska.

— Laboratorium elementów elektronicznych przyrządów pomiarowych ma na celu zapoznanie studentów z działaniem różnego typu układów elektronicznych. Jest ono kontynuacją laboratorium pod tą samą nazwą, z tym, że dotyczy spraw znacznie bardziej skomplikowanych i stanowi jakby drugi stopień wtajemniczenia. Uczą się w nim studenci IV roku kursu dziennego, oraz III i IV roku kursu wieczorowego.

Głównym założeniem, jakie przyswiecało przy organizowaniu tego laboratorium było takie ustawienie ćwiczeń, żeby wszyscy studenci mieli możliwość ich wykonania bezpośrednio w tydzień po wykładzie omawiającym dane zagadnienie. Przyjęcie za punkt wyjścia dotychczasowej koncepcji laboratorium, wymagałoby zorganizowania dużej ilości stanowisk, czyli wiązałoby się ze znacznymi kosztami. Problem ten rozwiązano inaczej. W Instytucie opracowano trzy rodzaje makiet z wmontowanymi połączeniami wewnętrznymi, przy których zmiana układu wymaga tylko wymiany płyty opisowej (z narysowanym schematem układu) oraz załączenia różnych czynnych i biernych elementów elektronicznych. Każda grupa studencka dysponuje trzema takimi makietami, z których jedna pozwala realizować wszystkie układy zasilające, druga — układy liniowe, a trzecia — układy impulsowe. Nowością jest „przwiązanie” grupy studenckiej do jednego stanowiska. Skłania to studentów do większej dbałości o sprzęt, bo przecież przy kolejnym ćwiczeniu będą korzystać z tych samych przyrządów. Częścią wymienną makiet jest tablica, na której narysowany jest układ montowany aktualnie przez studentów. Całość stanowi niespotykane dotąd rozwiązanie, które zostało zgłoszone do Urzędu Patentowego.

W czasie jednego terminu laboratoryjnego student zobowiązany jest zmontować podane układy i pomierzyć ich parametry obliczone przed rozpoczęciem ćwiczeń. Jest sprawą zrozumiałą, że nie wszystkim uda się zmieścić w czasie. Wprowadzono w związku z tym pewną innowację. Laboratorium otwarte jest tylko w godzinach przewidzianych przez programy zajęć, ale i w innych terminach, w czasie których można uzupełnić niedokończone ćwiczenia, a nawet „przećwiczyć” coś, co wybiega poza zakres zadań obowiązkowych. Godziny dyżurów, w czasie których nad przebiegiem pracy studentów czuwa asystent, przewidziane są trzy razy w tygodniu. Rozwiązanie to wychodzi na przeciw koncepcji Uniwersytetu Technicznego, która przewiduje zwiększenie ilości studentów studiujących indywidualnym programem studiów. Ta elastyczność w terminach otwarcia laboratorium umożliwia studentowi wybór dnia, w którym wykona ćwiczenie.

Oczywiście organizacja laboratorium otwartego obciąża w większym stopniu pracowników naukowo dydaktycznych. Nowa koncepcja stwarza jednak możliwość obsługi laboratorium przez jednego asystenta i ułatwia mu kontrolę pracy studentów bo wszyscy realizują ten sam układ.

Problemem są nadal liczne grupy studenckie. Najkorzystniej byłoby, żeby jedna osoba wykonywała ćwiczenie. W tej chwili jest to niemożliwe, ale w przyszłości, gdy laboratoria będą codziennie dostępne, uda się ten cel osiągnąć.

W przyszłym semestrze przewidziane jest wydanie skryptu do laboratorium. Na razie studenci otrzymali po-

wielony opis makiet i instrukcji, który powinien ich zaznajomić z pracą na ćwiczeniach.

Na zakończenie — mały rekonesans. To, co najbardziej w laboratorium uderza i przyprawia o miłe zdumienie, to brak jakichkolwiek „przewalających się” mierników, stosu elementów elektronicznych, poplątanych przewodów. Cały sprzęt potrzebny przy ćwiczeniach rozmieszczony jest na estetycznych stolikach. Wszystkie stanowiska laboratoryjne, zgodnie z założeniem, są jednokowe. Podstawowe wyposażenie, to minimalna ilość przyrządów pomiarowych, makieta, wymienne elementy elektrotechniczne i piecyk do badania termicznych zmian zachodzących w układach. W szafach — ustawione w szeregu makiety wymienne. Przy każdym stanowisku — lampka.

Większość przyrządów została specjalnie zaprogramowana i wykonana dla potrzeb laboratorium przez Instytut Metrologii Elektrycznej. „Układy”, które były przez tyle lat straszakiem dla studentów wydziałów elektrycznych i elektronicznych, staną się z całą pewnością zrozumiałe dla tych, którzy przejdą kurs w nowym laboratorium.

MALGORZATA MICHALAK

Ślunska ballada

*Zyli na Slunsku młode górniki
Oba chodzili do tej Moniki
Co to tańczyła, co to śpiewała
I corne łocy jak wyngiel miała*

*Cy to slunecnie, cy dysców pora
Widzieli wszyscy Junka stygora,
Fruncka rymboca — jak zasuwali
Bo sie pieruny w jedny kochali.*

*Tyn jej psynosił wyngiel w kiesini,
Tamtyn ji śpiwoł, że sie lozyni —
Tak sobie bestie wciąż psychodziły
I się do kuńca nie lozyniły.*

Cy to slunecnie...

*Cekała dziolcha, długo cekała;
Wynglami loców gozko piakała —
Junek ji cule septoł: „kochana”
Fruncek jum ino broł na kolana.*

Cy to slunecnie...

*Mijali lata takich zalotów,
Wiejskie dziecioki dla swoich psotów
Śmioly się z dziolchy, z chłopów sie
Był ci to dło nich kawoł wesoły.*

Cy to slunecnie...

*Ludzie to we wsi mieli kłopoty
Cym sie zakuńcum łowe zaloty —
Lec ci na świcie syćko się kryni:
Roz psyjechali do wsi studynci...*

*Cy było slunice, cy dysce lały
Studynty Monike wciąż łodwiedzały
I nim kolejno wiosna minyła
Dziolcha dziecioka wreszcie bawiła.*

*Kuńce swum śpiwke prosto ze
Slunska*

*Nauka z tego idzie niewunska
I tako piosnki bydzie tyj pynta:
„Gdzie chłop ni może — pošlij
studynta!”*

ANTONI JERZOWSKI
(Godło: „Bakałarus”)

(III nagroda w konkursie na tekst piosenki)



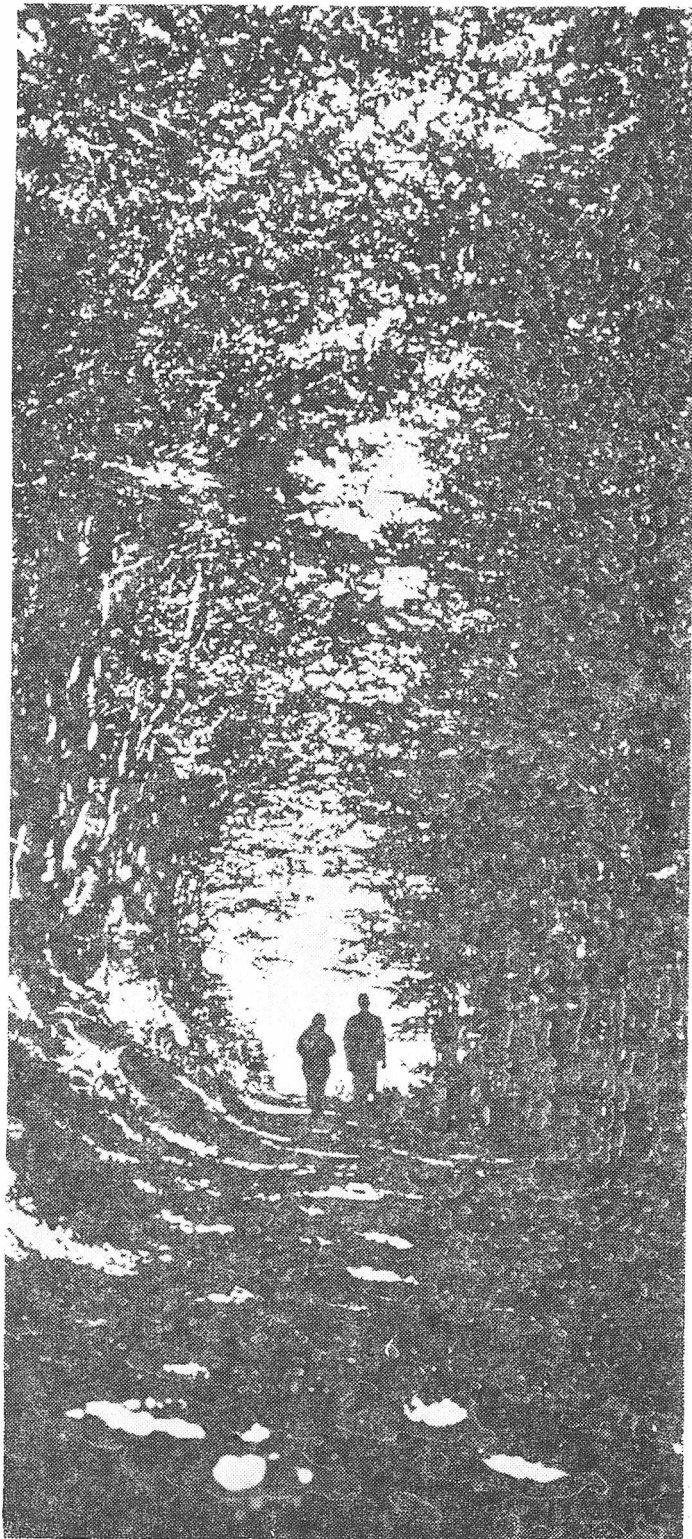
PAUZA

W rękach nerwowo długopis, szeregi liter rozkołysane, a obok wypoczywa papieros w popielniczce, zwęglone drewno i popiół, nić dymu leniwie pnie się w spirali błękitnie w nieruchomym powietrzu, odlepiają spojrzenia od gazet, uszy odchodzą poza głos spikera w ciszę co nie jest ciszą — daleko niech będą sprawy, rzeczy, zdarzenia, fakty, nieodwracalna kalkomania rzeczywistości, tak, czy słyszałeś kiedy, jak przychodzi wiosna? może oddech jej poczułeś w benzynowej stacji, przy stoliku kawiarni, w sklepie ze słodczymi, gdzieś jeszcze, dalej, bliżej, tu i tam oczy zobaczyć wielkie jak horyzont, czyste niebo w spojrzeniu, brunatność traw i szarość śniegu co bielal stopniowo ku górze, a, a góra stała wśród pól brunatnych zielonym nalotem owianych, przy kamiennej ścieżce był człowiek (kiedy niedźwiedzia już nie było) wybudował tam maszt stalowy, aby dzieci starcy, kobiety mężczyźni, geniusze kabotyni, studenci profesorowie, złodzieje i policjanci, żołnierze i cywile, lekarze i pacjenci, prokuratorzy i więźniowie, idioci i normalni, my wy oni w godzinach swego szczytu na jeden moment lub między momentami sztucznym spojrzeniem świat sztuczny mogli zobaczyć, w sztucznych uszach zabrzmiała cisza co nie jest ciszą, i tak nie usłyszą kiedy wiosna schodzi w doliny, co najwyżej zmianą opakowanie i cenę przekreślą, dalej bliżej tu stoi góra pośród pól szarych owianych nalotem spalin, można czekać przy drodze, na dworcu, pod kioskiem, w mlecznym barze, gdzieś i wszędzie, czekać można, tak, czy widziałeś kiedy oczy większe niż horyzont? może zbłękitniałeś w tym spojrzeniu, podczas gdy człowieka z rybą i niedźwiedzia zamknięto za drucianym ogrodzeniem, wtedy byli już z kamienia, i przyszedł inny człowiek i pochylił głowę i spojrzał i rzekł — dalej, bliżej, tu czekał kiedy płynęła potokiem w tunel błękitną plamą wśród szarości, kwiat wiosenny, radość, a potem dała się prowadzić wijącą pośród pól drogą ku górze, kamienną ścieżką gdzie odpoczywał zmęczony człowiek z rybą i niedźwiedź także zmęczony a wyżej była jeszcze zima — Tam to sobie powiem, szepnął, gdzie kiedyś spływały błyskawice i kwiat paproci jak gwiazda błyszczał w noc świętojańską pieśń kołysała czubki drzew — Tam to sobie powiem, odrzekła kładąc głowę na jego ramieniu, i dalej szli kamienną ścieżką, a po chwili powiedział — Już szczyt widzę więc bądź gotowa, i ku górze spojrzał i jeszcze w jej oczy — Gotowa już jesteś? zapytał — Tam to sobie powiem, odrzekła, bądź także gotowy, na szczycie Światowida twarze cztery w uśmiechu błyszczą jak gwiazdy cztery w noc krótką, więc bądź gotowy, i dalej szli kamienną ścieżką — To już, powiedział po chwili, przystanął i objął ją ramieniem, po czym patrząc w oczy, dodał, teraz, teraz — Tak, teraz, odrzekła i cisza spłynęła co była ciszą, potem twarzą przy jej twarzy szeptał — Co czujesz teraz — Ciepło, odrzekła — I co jeszcze czujesz? — Ciebie, odrzekła — I jeszcze co czujesz? — Siebie także czuję, odrzekła i na czas dłuższy umilkła, a kiedy słońce chyliło się ku zachodowi zapytała — Co widzisz teraz? — Ciebie widzę, odrzekł — Jeszcze co widzisz? — Wiosnę widzę, odrzekł — I jeszcze co widzisz? — Wiosnę widzę jak schodzi w doliny — Wysił swój wzrok — I co teraz widzisz — Wiosnę widzę jak schodzi w brudne doliny, odrzekł, szata jej czernieje od dołu, uśmiech gaśnie, łzy w oczach, smutną wiosnę widzę, i nas także smutnych, więc nie odchodź ani na moment — rzekł, ale odeszła na jeden moment i mróz ściał ziemię, kwiaty wędły w szarość, a niebo ciężarem ugniatało powietrze, to był dym z kominów z rur wydechowych, z płuc, a ryby wyszły na zaśmiecone brzegi, pęczniały im brzuchy, nisko nad szarością ziemi snuł się zapach rozkładu, w kamiennej pustyni umierało ostatnie drzewo, ramiona wyrzuciło ku niebu, w tysiącpalce dłonie uchwyciło chaust dymu, do placu można było dojść z trudem wśród rozrzuconych puszek, tektur i innych opakowań, tam bawili się sami starcy, złodzieje, policjanci, bandyci, prokuratorzy, żołnierze, i nigdzie nie było dzieci, umarli razem z drzewem, tylko na ścianach poszarzałych domów

szeregi liter rozkołysane niewprawną ręką, nie pisało tam, ala ma kota a adam jest głupi, nie, czy potrafiysz to kiedyś odczytać? może wiary w tobie zabrakło i siły, może nie masz zupełnie oczu, na pewno zabrakło horyzontu i błękitu, dalej, bliżej, tu i tam, i gdzieś jeszcze brunatność traw i szarość śniegu co czerniał ku dołowi stopniowo, a, a góra stała wśród oparów, dusił się człowiek z rybą i niedźwiedź, a inny człowiek (kiedy niedźwiedzia już nie było) maszt tam wybudował żeby w sztucznych słowach w umysły sztuczne wprowadzać nierzeczywistą wiosnę, płynęły więc słowa w gęstym powietrzu co wcale nie było powietrzem, a ich zebrała się spora grupka, starcy, kiwali głowami, gwarzyli, kalkomania frazesów, więc dosiadasz konia i w turkocie kół mkniiesz tam, gdzie zostało jeszcze trochę lasu, strumień jakiś i rozlewisko, pada koń ostatni zszarzały pod szarym niebem, powłócząc nogami, czolgając się przybywasz na polanę, której już nie ma, gasnącym spojrzeniem wylawiasz prawdę, której także nie ma — nie prześladow jej już więcej!

TUTMOZIS

Fot. J. BORTKIEWICZ



Jestem za „małą” turystyką. Nie dlatego, że jest to może łatwiejsze i prostsze, że nie wymaga takiego nakładu pracy i środków, jak imprezy giganty, w stylu rajdów, a właściwie zjazdów, np.: „Sudety”. Wielkie rajdy wydają się być dzisiaj anachronizmem. Parę lat temu były naprawdę potrzebne.

Do turystyki podchodziło się wówczas z niepewnością, ba, z nieufnością, była jeszcze zjawiskiem niecodziennym, niemal elitarnym, rajdy—kolosy stanowiły więc jej szansę. Wkrótce rekrutowały zawrotne liczby turystów — zaludniały się szlaki na dwa, trzy, cztery dni, dni poprzedzone tygodniami zmudnych przygotowań. Wysiłki organizatorów trafiały wówczas chyba na podatniejszy grunt niż dzisiaj, co obrotniejszą PKP np. wynajmowało nawet całe pociągi niż obecnie. Dziś zaniechano takich praktyk — powoływanie się na ideały stało się mało skuteczne. Turystyka spowszechniała, coraz trudniej liczyć na „serce” instytucji państwowych; czasem udaje się jeszcze apelować do ich kieszeni. Więc studenci, łącząc przyjemne z pożytecznym, rozkładają na zagranicznych campingach namioty z wielkimi napisami, reklamującymi produkty Wytwórni Sprzętu Sportowego. Widziałem na ostatniej „Giełdzie Piosenki Turystycznej” w Szklarskiej Porębie namiot ze starannie wymalowanym napisem: „Noc poślubna” — może reklama USC?

Złazy — wydaje się — spełniły swoją rolę, roznieciły zamiłowanie do „łażenia” po górach i trzeba się pogodzić z tym, że muszą odejść (w każdym razie w starej formie).

W tej chwili berło przejęły rajdy instytutowe, wydziałowe, przeprowadzane w gronie kilkudziesięciu osób, a już dają coraz wyraźniej znać o sobie kilkunastoosobowe wyjazdy Grup Działania.

Atmosferę rozmachu „wyprawy po złote runo” zastąpiła atmosfera kameeralnego przeżywania gór, tworzenia małej turystycznej wspólnoty. W takim składzie o wiele łatwiej o zmiany, nowe pomysły, nowe możliwości. A to jest już dużo, bardzo dużo.

Po wyborach do Plenum RISZSP przewodniczący RI Instytutu Technologi Elektronowej postanowił przeszkolić „swoich ludzi” na dwudniowym wyjeździe. Program przewidywał jedną godzinę szkolenia w sobotę, dwie — w niedzielę, kawalki trasy, nocleg w Marii Snieżnej. Ludzi do wyjazdu trzeba było niemalże zmuszać. Ale lody przelamały się już na drodze do schroniska. Spadł właśnie pierwszy śnieg; mała grupka i bezkres, drzewa, śnieg, piosenka — zawiązała się pewna więź. Kiedy po przybyciu do celu okazało się, że nic tam o naszym przyjeździe nikomu nie wiadomo, stopień naszej solidaryzacji osiągnął szczyt. Po burzliwych debatach otrzymaliśmy jeden wspólny pokój, łóżka piętrowe — nikogo nie trzeba już było do niczego przymuszać, zdawało się, że stworzony został jeden organizm. Później w pociągu toczyły się jeszcze żywiołowe, wcale nie prowokowane „odgórnie”, szczere dyskusje, padały propozycje, deklaracje.

Nie wyobrażam sobie takiego szkolenia w grupie już, powiedzmy, 50 osobowej. Co innego zwykły rajd, gdzie 40–60 osób, to chyba optymalna właśnie liczba. Jest to grupa jeszcze zwarta, a już mogąca się razem bawić.

Rajdom wyczynowym wystarczają uroki samej trasy, ale większość rajdów posiada w programie jeszcze pozycję zatytułowaną: ognisko, wieczorek, zakończenie (można przytoczyć parę jeszcze innych nazw) — w rezultacie sprwadzającą się do wspólnej zabawy.

Czegoż to studenci nie wymyślą, jakie najzmyślniejsze konkursy, jak potrafią błyszczeć dowcipem, a na niektórych rajdach w sukurs przychodzi jeszcze naukowcy, a nieraz ci ostatni wiodą prym. Łatwo bawić się w 60 osób, można i w osiemdziesiąt, ale rozruszać i wciągnąć w ten wspólny wir np. 150 osób jest już prawie fizyczną niemożliwością. Spotyka się potem rajdy, na których 50% uczestników wpada prawie w euforię, a reszta siedzi po kątach i nie wie „co jest grane”.

Tu dochodzi jeszcze drugi problem — problem trasy. Można chodzić wytartym szlakiem i to raczej nie nastrocza trudności, ale są czasem miejsca ciekawsze niż szlak. Kiedy idzie się parę kilometrów ścieżkami, a chwilami w ogóle bez ścieżek, za ile osób można wziąć odpowiedzialność? A w moim instytucie ludzie nie zawsze popierają utarte szlaki. Sama trasa — wydawałoby się, że wystarczy pojechać palcem po mapie... Ale teren czasem zmienia się szybciej niż mapy. Szlak jednego roku niebieski, za trzy lata staje się zielonym (np.: G. Bialskie). Pamiętam 20 minutowe zejście (na jednym z zeszłorocznych wyjazdów) ośnieżonym, stromym zboczem, coś w stylu Urwisk Batorowskich albo zejścia z Łabowskiej Hali szlakiem czarnym — takich atrakcji nie gwarantował żaden szlak w Masywie Snieżnika.

W zeszłym roku zdobyłem ledwie 40 miejsc na wiosenną „Terę” (rajd instytutowy ITE) a i to zapowiadały się igrzyska spartańskie warunki. Schronisko „Pod Kopą Biskupią” w Górach Opawskich było w częściowym remoncie, do źródła — ok. 500 metrów, pokoje przez całą zimę nieopalone. Na te 40 miejsc pojechało sześćdziesiąt kilka osób; woleli spać po dwie osoby, niż z rajdu zrezygnować. Ale „Tera” (w tym roku już „IX Tera”), to osobna księga, z dużą tradycją, to rajd, który od samego początku stworzył swój specyficzny styl, minimalnie modernizowany w trakcie kolejnych imprez. Swoje aktualne oblicze zawdzięcza oddaniu jego uczestników, stale zwiększającej się grupki osób, które raz pojechawszy, pozostały mu wierne do dziś.

Na „VIII Terę”, w niedzielę rano, jeszcze przed pobudką wyszedłem w teren, by doszlifować kawałek trasy. Byłem niezwykle mile zaskoczony, kiedy po powrocie zastałem grupę gotową do drogi, a załatwianie formalności związanych z noclegami, dobiegało już końca.

Dobrze, że z finansami coraz łatwiej. Zmalały ilości druczków, papierków, „niezbędnej” makulatury. Coraz mniej wypełniania, pisanie, skreślanie, popra-

wiania, podpisywania. Coraz łatwiej zdobyć dofinansowanie w jeden, czy dwa dni po rajdzie. Za to należy się duży plus tym, którzy dysponują finansami.

Niestety, nie wszędzie zdrowy rozsądek święci tryumfy. Paradoksalnym zjawiskiem są połączenia PKP — PKS. Jeżeli z jakiegoś miejsca autobus odjeżdża nieco wcześniej niż przyjeżdża pociąg z Wrocławia, to pewne jest tylko to, że nieprędko będzie następny (o ile w ogóle będzie), i że autobus powrotny przyjeżdża tam w parę minut po odjeździe pociągu do Wrocławia. Brzmi to trochę jak prawo fizyczne, ale wertując rozkłady jazdy PKP i PKS można dojść do wniosku, że jest to rzeczywistość żelazna reguła.

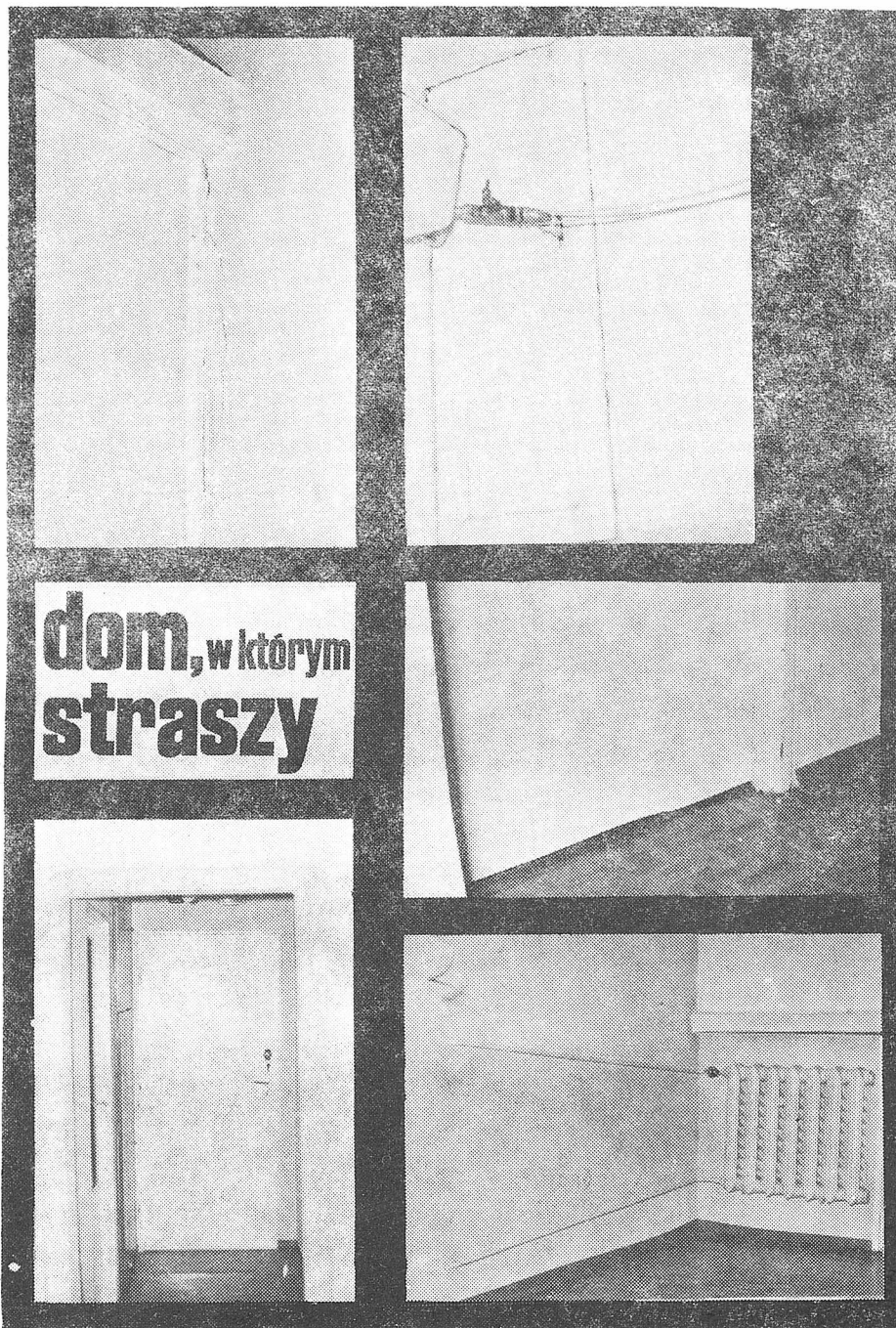
Kiedyś próbowałem toczyć batalie o ewentualne przesunięcie w rozkładach jazdy (pisma, telefony) — po kilku nieudanych interwencjach zrezygnowałem.

Czasem i niektóre schroniska mają brzydki nawyk — lubią zawiadamiać o niezarezerwowaniu noclegów „na 5 minut przed dwunastą”. Różne stosuje się wtedy rozwiązania. Można odwołać imprezę, można usiąść przy telefonie, co z reguły przesuwają odwołanie imprezy o parę godzin, a można udać, że „do nas nic nie doszło” i zaryzykować wyjazd — niech się na miejscu martwi schronisko. Najczęściej kończy się to tym, że po prostu, śpi się „trochę głębiej”.

Wspomniałem wcześniej o wyjazdach kilkunastoosobowych Grup Działania. Są to wyjazdy o tyle specyficzne, że nie mają czysto rajdowego charakteru. Związane są z reguły z jakąś konkretną imprezą, tradycją. W ten sposób jeżdżą grupy na „Półmetki”, na „Andrzejki”, „Mikołajki”. Specyfika tego typu wyjazdów chyba najwłaściwiej pasuje do niewielkiego grona, a ponadto jest ważnym elementem scalającym Grupę Działania. Takie właśnie wyjazdy nie raz decydują o zżyciu się, o tym, czy te dwadzieścia parę osób zapomni o sobie w miesiąc po studiach, czy będzie miało jakieś wspólne wspomnienia.

Grup studenckich jest dużo, schronisk znacznie mniej i czasem bywają trudności z noclegami, ale zawsze można znaleźć jakieś rozwiązanie. W tej chwili z nową inicjatywą wyszedł „Almatur”, Akcja „kurna Chata” wymaga trochę pracy, ale chyba się opłaci. W czym rzecz? W Sudetach jest wiele nieużywanych, częściowo zniszczonych budynków. „Almatur” zobowiązał się zapewnić środki finansowe i niezbędnych specjalistów każdej grupie, która zdecydowała się własnoręcznie doprowadzić taki obiekt do stanu używalności, z zastrzeżeniem, że Biuro partycypowałoby w używaniu obiektu.

Własna chatka w Sudetach, to propozycja nie do pogardzenia. Można by się obawiać, że sypną się zaraz grupy, grupki i grupeczki, zaludnią Sudety i góry stracą oblicze gór. A może nie będzie tak tragicznie, może właśnie dzięki temu Sudety powiększą się o nieznanne, piękne zakątki. A czasem przyjemnie jest spotkać ciepłą chatkę na dzielnym szlaku.



dom, w którym straszy

Zdjęcia: J. MARTAN

Dom ten, mimo stosunkowo krótkiego żywota ma dość bogatą historię. Oczekiwany z utęsknieniem i nadzieją, kilkakrotnie przedstawiany do odbioru, został wreszcie przyjęty przez Politechnikę Wrocławską i „zasiedlony” przez jej pracowników. Dla większości jest to pierwsze od kilku lat samodzielne mieszkanie. Skończyła się tułaczka po akademikach, hotelach asystenta i prywatkach, zaczął się etap, który można by górnolotnie nazwać „normalnym życiem we własnym domu”. Czy normalnym?

Od momentu wprowadzenia się do domu pierwszych lokatorów, Dział Administracyjno Gospodarczy Politechniki zasilany jest lawiną pismek utrzymanych w różnych tonacjach — od prośb do pogróżek: *poprawcie, zmieńcie, zaklejcie, wstawcie* — repertuar jest bogaty. Bo też i w domu roi się od usterek.

Cynk trafił nawet do „Sigmy”: *Przyjdźcie, napiszcie, bo już trudno wydzierżyć — adres — Pomorska 6.*

Jedziemy!

Ze znalezieniem domu nie mamy specjalnych kłopotów. Przy ulicy, na której dominuje stare budownictwo, stoją trzy nowe bloki. Niezbyt okazałe i na pewno żaden z nich nie będzie pretendował do tytułu Mister Wrocławia, ale komu takie rzeczy w głowie. Ważne, że są!

Bez trudu znajdujemy numer 6. Naciskamy klamkę. Drzwi ani drgną. Zamknięte na klucz. Trzeba dzwonić i sprowadzić na dół gospodarza. Jesteśmy trochę zdziwieni tymi porządkami, bo nigdzie jeszcze nie widzieliśmy bram zamykanych w biały dzień, ale jak nam wyjaśnia przybyły właśnie gospodarz — tu panuje taki zwyczaj, że drzwi się zamyka bez względu na porę. Idziemy w stronę windy. Czerwone światelko sygnalizuje, że winda jest „w użyciu”, a więc przyjdzie trochę poczekać na swoją kolejkę. Czy jedna winda wystarcza dla tylu mieszkańców? — próbuje podpytać Ryśka. Jak to właściwie

wygląda, gdy wszyscy o jednej porze wybierają się do pracy? Ryśiek uśmiecha się pobłaźliwie: To żaden problem — odpowiada. — W końcu na Politechnice nie wszyscy zaczynają pracę o jednej godzinie. — Światelko przy windzie gaśnie. Ryśiek momentalnie naciska guzik — małe ćwiczenie na refleks. Kto pierwszy ten lepszy! Grunt, że mamy windę! Przez moment ze zdziwieniem obserwujemy praktyki Ryśka. Najpierw delikatnie zamyka zewnętrzne drzwi, a potem z całej siły uderza pięścią w drzwi kłapkowe. To po to, żeby się nie zacięły — wyjaśnia. Jak się mocno nie domknie, to winda staje między piętrami. Chyba nie macie ochoty spędzić upojnej nocy w tej klatce. Oczywiście, że nie mamy! — i dlatego z wdzięcznością spoglądamy na gospodarza, który dowiózł nas całych i zdrowych do swojego mieszkania.

W pierwszej chwili odnosimy korzystne wrażenie. Ładny parkiet, zupełnie przyzwoite (pod względem metrażu) pokoje. Rażą nas trochę ściany, na których tu i ówdzie rozlewa się plama albo smuga, ale gdzie w końcu można spotkać ładnie pomalowane ściany?

Ryśiek szybko przywraca nas do rzeczywistości. Te drzwi się nie domykają — pokazuje. Zobaczcie — można wsadzić całą rękę! A może chcecie zobaczyć wykończenie stolarki? O, tu jest rama okienna. Z pozoru całkiem przyzwoita, ale gdy otworzyć okno, widać straszące od strony wewnętrznej nieheblowane, surowe deski. Albo tu blenda — zobaczcie. Umieścili ją na ścianie z oknami. A w sumie, to wątpliwy element dekoracyjny. Chyba trzeba to będzie czymś zastawić. Ryśiek zamyśla się na chwilę, a my jesteśmy już trochę mniej zachwyceni niż na początku.

Chcecie zobaczyć kawałek oderwanego muru? — pyta nas zniecierpliwiony gospodarz i otwiera okno. Faktycznie — z boku widzimy sporą wyrwę. Trudno będzie winować przyszłym pokoleniom, że jest to dom, który przeżył wojnę, a zaistniałe defekty wystąpiły na skutek bombardowania.

Dziura w murze nie jest jednak gwoździem programu. Wiecie, że u mnie straszy? — mówi w pewnym momencie Ryśiek. — Czy coś słyszycie? Tak, owszem. Przecież gra adapter — odpowiadamy z lekką zaskoczeni. — Ta ja adapter wyłączę i też będzie grać! — oświadcza Ryśiek. Teraz w ciszę wwierca się monotonne bzykanie. To kaloryfery. Dźwięk przez nie wydawany, aczkolwiek monotony, jest jednak zupełnie dobrze słyszalny. Podobno nasila się po godzinie 23-ej. Tak jest we wszystkich mieszkaniach. Podstawowym wyposażeniem każdego lokatora jest w związku z tym radio i wata do uszu. Radio włącza się w celu zagłuszenia, a wate używa się, gdy przyjdzie pora spoczynku. — Jak chcecie, to pokażę wam mieszkanie, z którego wycie kaloryferów słychać na klatce schodowej. Przedtem jednak obejrzymy sobie kilka innych curiosów — mówi Ryśiek.

Trafiamy trzy piętra niżej. W tym mieszkaniu — mówi Ryśiek tonem wytrawnego przewodnika — zobaczymy drzwi odchylone o 15 stopni od pionu i dziurę w parkiecie, która została co prawda zatkana, ale jest nadal widoczna! Wszystko idealnie zgadza się z opisem. Idziemy dalej, do trzeciego już mieszkania. Czas nagli, a tu właśnie ma się rozegrać sąd ostateczny. Pani domu — inżynier architekt przedstawia nam bolączki, widziane oczami nie tylko użytkownika, ale i fachowca, który

ma wiele zastrzeżeń odnośnie projektu i wysiłków kolegi po fachu.

Pierwsza uwaga dotyczy łazienki. Dumą z faktu posiadania tej własnej i samodzielnej „świętyni dumania” zatrudnia jeden drobny szczegół. Nie ma miejsca na wstawienie pralki. Nie jest to spowodowane bynajmniej, ograniczoną powierzchnią przybytku ulgi, tylko tym, że źle ustawiono wannę i muszlę klozetową. Gdyby pani domu robiła pranie i podłączyła pralkę do zainstalowanych w łazience gniazdek kontaktowych, musiałaby tę czynność wykonywać w pozycji siedzącej, zajmując miejsce zgola ku innym celom przeznaczone. Rury doprowadzające wodę są odsunięte od ściany na odległość kilku centymetrów. Zmusza to do odsunięcia pralki od ściany i powoduje, że zajmująca ona znacznie więcej miejsca, uniemożliwiając wszelkie manewry.

Nie jest to wygodne i pan projektant prawdopodobnie nie byłby zachwycony, gdyby taką łazienkę miał we własnym mieszkaniu.

Pikantny szczegół, to brak kratki ściekowej. Podobno wmontowanie jej podwyższa koszty budowy i dlatego w wielu obecnie budowanych domach rezygnuje się z tego przedmiotu zbytku. Nie ma jednak specjalnych powodów do radości, gdy za każdym razem rozlaną wodę trzeba wycierać szmatką.

Z łazienki wychodzimy na korytarz. W myśl założeń, miał on stanowić niepoślednią pomoc przy zagospodarowaniu mieszkania. Powierzchnia 8 m² — a więc dużo, dużo wolnego miejsca, na którym można zmieścić wszystko to, co się nie zmieściło. Bieda w tym, że choć dokumentacja przewiduje możliwość wstawienia standardowej szafy o szerokości 60 cm. koło kuchni, wnęka przewidziana na tę szafę ma szerokość mniejszą i uzależnioną chyba wyłącznie od widzimisię wykonawcy. W tym mieszkaniu — 55 cm., a w innych podobno jeszcze mniej.

Kuchnia, to też przykład swoistego bezholowia. Odwrotne ustawienie kuchenki i zlewozmywaka uniemożliwia wstawienie lodówki. Umieszczono w niej również szafkę gazową i licznik, a przepisy nie zezwalają na ustawienie kuchenki gazowej pod licznikiem. Wszyscy lokatorzy natychmiast po otrzymaniu mieszkań zaczęli od przemeblowywania i przestawiania. Wtedy, o dziwo, okazało się, że są na świecie ludzie, którzy doskonale wiedzą, jak powinno być, żeby wszystko grało. Pan projektant i pan wykonawca ma prawo nie wiedzieć, gdzie ustawić kuchenkę i zlewozmywak. Dla państwa — 1000 zł. rodzaju macherzy, którzy zaczynają swą pielgrzymkę po mieszkaniach natychmiast po wprowadzeniu się pierwszych lokatorów. Taki pan punka do upatrzonych drzwi i mówi: Zdaje się, że państwo chcecie przestawić kuchenkę i zlewozmywak. Dla państwa — 1000 zł. I państwo płacą, bo są w końcu w sytuacji bez wyjścia, a w ten sposób i wilk syty, i owca cała.

Lista skarg przedstawiona przez panią domu obejmuje 13 punktów. Na pierwszym miejscu — wyjące kaloryfery, dalej — uwagi dotyczące kuchni, łazienki, korytarza, nieszczęsnych blend, braku balkonów, złego rozmieszczenia drzwi, okien, których nie da się myć bez ich całkowitego rozmontowania, rozmiarów małego pokoju, który wbrew dokumentacji ma długość 160 cm. a nie 180. Jest też uwaga dotycząca anteny zbiorczej. Radio doskonale gra, gdy nie

jest do niej podłączone. W momencie jednak, gdy ktoś nieświadomy rzeczy zapragnie polepszyć sobie jakość odbioru i wciśnie guzik dołączający do tejże anteny, usłyszy tylko nieartykułowane dźwięki, które w tonacji współgrają chyba wyłącznie z wyciem w kaloryferach.

Opuszczamy blok przy ulicy Pomorskiej podniesieni na duchu. Nam na

razie nie przydzielono mieszkania. Na kilka następnych lat mamy spokój. My czekamy na dom, w którym nie będzie straszyc.

P.S. Projektantom i wykonawcom życzymy nieustających sukcesów w konkursie dobrej roboty (Do-Ro).

JANUSZ MARTAN
MAŁGORZATA MICHALAK

odwrotna proporcjonalność

Nie odkryję na pewno Ameryki stwierdzając, że dotychczas sprawa intensyfikacji rozwoju kultury fizycznej, zwłaszcza w jej wydaniu wycynowym, miała na naszej Politechnice posmak zmagania zapaleńca ze złośliwym fatum. Z jednej strony pełne energii Studium WF i AZS, pokaźna grupka uzdolnionej i co więcej — chętnej do pracy młodzieży, z drugiej — brak obiektów sportowych.

Mimo to mamy sekcje sportowe, i to dobre. Nie należy jednak popadać w nadmierny entuzjazm, bo mogłoby być lepiej. Spójrzmy bowiem na dotychczasową bazę sportową Politechniki (w określeniu „dotychczasowa” nie zawierają się obiekty oddawane aktualnie do użytku). HALE SPORTOWE: praktycznie rzecz biorąc nie ma żadnej, nie licząc małej salki dżudo na Stadionie AZS. Treningi koszykówki czy siatkówki odbywały się w salach gimnastycznych szkół podstawowych i średnich, względnie hali AWF, udostępnianej naszym zawodnikom na dwie godziny tygodniowo. STADION, owszem, mamy. Tyle, że nie odnawiany od dziesięciu lat. W ciągu tego czasu nawierzchnia bieżni nabrała dokuczliwej właściwości obdarzania kontuzjami zawodników, a i trybuny dostarczały dodatkowych emocji widzom. Nieoczekiwanie można zapaść się wraz z próchniejącą deską, złamać sobie nogę, albo paść ofiarą kombinacji tych dwu możliwości. Jedynie korty tenisowe co sezon przechodzą swoje zabiegi.

BASEN: nie posiadamy własnego.

Gdyby teraz polakomić się o znalezienie relacji między wynikami naszych sportowców a jakością obiektów, nazwalibyśmy ją odwrotnie proporcjonalną. Po MPTU w 1973 r. Politechnika Wrocławska zajmuje w klasyfikacji ogólnej II miejsce za Warszawą. Najlepszymi okazały się następujące dyscypliny: narciarstwo (I miejsce), pływanie (III), judo (III), lekka atletyka kobiet (III). Zespoły naszego AZS z powodzeniem startują w ligach państwowych: sekcja piłki ręcznej mężczyzn po pierwszej rundzie rozgrywek uplasowała się na IV pozycji, drużyna piłki siatkowej weszła do — A klasy. W Lidze Międzyszkolnej Wrocławia zajmujemy obecnie I miejsce z dużym prawdopodobieństwem utrzymania tej lokaty.

Już w maju zostaną oddane do użytku dwie sale ośrodka sportowego przy ulicy Chelmońskiego, przewiduje się wybudowanie 6 hal gimnastycznych. Koszt inwestycji — 10 mln zł. Część hal sprowadzimy z NRD. Ponadto zwiększone zostaną środki budżetowe na sprzęt sportowy. Studium WF otrzyma na te potrzeby ok. 1 miliona zł.

Wydawałoby się, że zajaśniała jutrzeńka nadziei. Okazało się jednak, że żadna z oddanych do użytku hal nie może być zweryfikowana do ligi okręgowej. Są niewymiarowe. Dlatego też siatkarze wolą grać „na wyjazdach” niż u siebie.

Wycynowcy mają ciężki żywot także z innego powodu; ich forsowne treningi, dramatyczne nieraz zmagania nie znajdują uznania w uczelni. Chodzi o uznanie wyrażone w jakiś szczególny, oficjalny czy półoficjalny sposób. Duży sukces, jakim było wejście drużyny siatkarzy z B do A klasy został uświadczony jedynie małym jasnym bezpośrednio po meczu. Nie chcę tu sugerować, że należy urządzać zawodnikom superbankiety, ale czy nie można było usatysfakcjonować ich bardziej elegancko?

Na lutowej konferencji sprawozdawczo-wyborczej AZS padło kilka bardzo ciekawych pomysłów. Zaproponowano np., aby działacze sportowi (nie mylić ze sportowcami) byli honorowani. Jeden z trenerów poddał myśl, by skupić wszystkich zamiejscowych zawodników danej drużyny w jednym akademiku. Łatwiej byłoby ich pozierać w nadzwyczajnych sytuacjach. Postulowano przełożenie zajęć z popołudnia na przedpołudnie tym, którzy trenują w sekcjach. Pomysł jest chyba dobry, ale nie wyobrażam sobie takich personalnych przesunięć w skali uczelni. Już lepszym wyjściem jest, uważam, umożliwienie studentom — sportowcom kontynuowania indywidualnego planu studiów. Taki projekt też wysunięto. Jeden z uczestników dyskusji zastanawiał się nad celowością istnienia przy SZSP niezależnych od AZS komisji sportowych. Sprawa jest już w toku.

Podczas konferencji ustępujący Zarząd dostał się na cenzurowane. Kierownik Studium W-F Politechniki Wrocławskiej doc. dr E. Ziobro ocenił jego pracę organizacyjną na cztery z plusem. Pół stopnia do piątki zaprzęsała owa fatalna baza sportowa.

Dobrze jest notowany nasz Klub AZS również „u góry”, tj. w Zarządzie Wojewódzkim AZS. Przedstawiciel ZW z dużym uznaniem wyraził się o pracy kol. kol.: Z. Sadurskiego i R. Sobierskiego (członkowie byłego Zarządu). Wysłuchawszy tych głosów przyjaźnej krytyki, ustępujący Zarząd otrzymał absolutorium. Przeprowadzone zaraz potem wybory ustaliły nowy skład Zarządu Klubu Uczelnianego AZS.

Tu mogłabym skończyć słowami „I ja tam byłam... etc., ale ponieważ nie chcę, by to wszystko między bajki włożono — poprzestanę na życzeniach: Powodzenia!

KŁOPOTY STUDENCKIEJ KULTURY

W redakcji „Sigmy” odbyła się dyskusja poświęcona problemom działalności kulturalnej w naszej uczelni. W dyskusji tej udział wzięli: Edward ZABAWA — kierownik klubu T-4, Zbigniew BURZYŃSKI — kierownik klubu „Pod Wiklinami”, Andrzej KRZESIŃSKI — kierownik klubu T-2, Henryk KOWALSKI — przewodniczący Komisji Kultury w DS T-4, Krzysztof WILCZYŃSKI — sekretarz Komisji Kultury RU SZSP oraz — z ramienia redakcji — Tomasz WIELICKI i Wojciech KOZAK.

T. WIELICKI: *Chciałbym zacząć naszą dyskusję od pytania bardzo ogólnego: Co się zmieniło w działalności kulturalnej prowadzonej przez Radę Uczelnianą oraz kluby od czasu powstania SZSP?*

E. ZABAWA: Jeśli chodzi o pracę klubów, to przede wszystkim — specjalizacja. Moim zdaniem nie najlepsza, gdyż nie uwzględniono przy wprowadzaniu specjalizacji dotychczasowego dorobku klubów.

Z. BURZYŃSKI: Specjalizacja narodziła się wcześniej, 2–3 lata temu, po konkursie „Czerwonej róży”. Kluby wybierały kierunek działania i były oceniane w tej dziedzinie. Jednak najwyżej ocenione zostały kluby o działalności wszechstronnej (takie jak „Stodola”, „Medyk”). Dopiero teraz specjalizacja ma zostać wprowadzona programowo i do końca w naszych klubach.

A. KRZESIŃSKI: Przed wyborami w SZSP wiadomo było, że trzeba się czymś „wykazać”. Przypominano nam o tej konieczności różnymi metodami. W moim klubie jako specjalność wybieraliśmy wychowanie estetyczne (plastyka, muzyka).

K. WILCZYŃSKI: Jeżeli coś się zmieniło, to na gorsze. Coraz mniej jest odbiorców kultury. Możliwe, że obecny model działania studentom nie odpowiada. A zmiany w planach, to jeszcze za mało.

T. WIELICKI: *A jak widzicie miejsce kultury studenckiej w działalności wychowawczej uczelni (zwłaszcza w powiązaniu z humanizacją uczelni technicznej)?*

K. WILCZYŃSKI: Tu właśnie jest pole do popisu dla klubów. Klub jest znacznie lepszym miejscem do prowadzenia tego typu działalności niż sale wykładowe.

Z. BURZYŃSKI: Nastrój w klubie prowokuje wykładowcę do ciekawszego przedstawienia problemu. Widziałem pewnego wykładowcę w takich dwóch sytuacjach (sala wykładowa — klub). W klubie był to zupełnie inny człowiek!

T. WIELICKI: *Czy tego typu działalność odbija się na zapotrzebowaniu na kulturę w środowisku studenckim?*

Z. BURZYŃSKI: Tak. Przykład potwierdzający: Organizowałem kiedyś wyjście na koncert w filharmonii dla uczestników praktyk robotniczych. Zauważyłem, że ci sami ludzie (nie wszyscy, oczywiście) zaczęli od tego momentu sami przychodzić po bilety na koncerty. Naszym zadaniem jest dać szansę poznania czegoś, posmakowania. Gdyby umiejętnie zaszczerpić potrzebę kultury, jest szansa na wychowanie wielu świadomych konsumentów, a nawet twórców kultury. Studenci Politechniki potrzebują więcej kontaktu ze sztuką, choćby z racji technicznego, a więc silnie odhumanizowanego charakteru studiów. Jest to odruch samobrony przed wyjałowieniem intelektualnym, jest to autentyczne zapotrzebowanie na kulturę.

H. KOWALSKI: Jak jednak pokonać barierę niewiedzy na tematy kultury i sztuki, ogromną bierność środowiska?

K. WILCZYŃSKI: Mówiąc o zaszczepianiu potrzeb kultury musimy myśleć zwłaszcza o I roku. I tu pojawia się nowy problem. Na początku roku studenci są pełni napędu, lecz potem z konieczności (nauka!) tracą kontakt z kulturą i właśnie w tym momencie zaczyna się okres bierności. Wszelkie „skłonności” do kultury skutecznie zabija się na pierwszym roku.

Z. BURZYŃSKI: Mamy do dyspozycji sześć klubów. Szczególną rolę do spełnienia miałby „Fosik” (I rok). Można by np. raz w tygodniu prowadzić prelekcje, wykłady itp., których adresatem byłoby właśnie studenci I roku. To prawdopodobnie nie od razu chwyci. Tego typu akcja wymaga przede wszystkim cierpliwości i konsekwencji. Jednak w ten sposób klub stałby się pierwszym etapem humanizacji studiów.

K. WILCZYŃSKI: Wszyscy mówimy o formach stosowanych już dawniej. I co? Zadnego zainteresowania, frekwencja bardzo mała. Dlatego, wydaje mi się, że naszym najważniejszym zadaniem jest opracować nowe metody działania.

T. WIELICKI: *A może raczej — bardziej zróżnicowane formy. Najwięcej zależy tu chyba od waszej — kierowników klubów oraz Komisji Kultury RU pomysłowości. Jak jednak wyobrażacie sobie odbiorcę tej działalności? Jak widzicie optymalny model studenta kulturalnego?*

Z. BURZYŃSKI: Na pewno stan obecny, obecny przeciętny „student kulturalny” nie zadowala nas, nawet więcej, wydaje się, że jest z nim coraz gorzej.

E. ZABAWA: Boli mnie często fakt, że przeciętny student jest z założenia nastawiony biernie do tego, co robimy. Wybrzydza „na wyrost”, często nie oglądając niczego na własne oczy. A już nie zdarza się żeby spróbował sam wpłynąć na jakieś zmiany.

A. KRZESIŃSKI: Dlatego naszym zadaniem jest zdobyć zaufanie tego studenta, sprawić żeby sam przychodził do nas, tak po prostu, bez okazji. W ten sposób mają szansę powstać spontaniczne grupy zainteresowań, może grupy twórcze.

H. KOWALSKI: Może wtedy wreszcie życie towarzyskie przeniosłoby się (choć w części) z pokojów do klubów.

A. KRZESIŃSKI: Odbiorcę trzeba umieć kupić. Zanim zaczniemy kształtować model optymalnego konsumenta kultury, musimy tego konsumenta zdobyć.

T. WIELICKI: *Podejdźmy teraz od nieco innej strony do problemu. Kultura studencka będzie istnieć tylko wówczas, gdy obok konsumentów dóbr kulturalnych będą w środowisku działać twórcy tych dóbr. W jaki sposób instancje kulturalne (chodzi mi o organizację studencką, a nie o zamierzenia Szkoły w tym zakresie) otaczają opieką jednostki twórcze w społeczeństwie?*

K. WILCZYŃSKI: Do tej pory grupy twórcze były przydzielane klubom z urzędu. Do niczego to nie doprowadziło z wyjątkiem rozbicia ruchu twórczego. Chcemy więc zorganizować klub środowiska twórczego (T-4). Nie wiemy, czy się nam to uda, gdyż żadna z nowo powstałych grup nie wykazuje dłuższej żywotności. Tak więc praktycz-

nie nie mamy nic. „Indykatora” nie ma, „Framu” nie ma, a takie grupy jak chór, czy „Gest” nie mogą się przecież związać z klubami. Obecnie działa tylko grupa „Cheops” założona przez Józefa Siatkę. A inicjatywy bywają. Instytuty kładą od okazji do okazji różne „kabareciki” itp. Wydaje mi się, że przyczyną śmierci tych grup jest słomiany zapal, często brak warunków. Może byłaby szansa na podtrzymanie zapalu, gdyby wszystkich chętnych kierować właśnie do jednego klubu?

Z. BURZYŃSKI: Autentyczna grupa twórcza musi powstać spontanicznie. Nie wolno tu stosować metody planowania, żadnych nacisków administracyjnych. Nie wystarczą nawet same indywidualności. Trzeba stworzyć odpowiedni klimat. Poza tym jest jeszcze inna sprawa: Studenci przyzwyczajają się do występów w klubach grup uznanych, renomowanych, często profesjonalnych. I z chwilą, gdy powstaje jakiś nowy zespół twórczy, publiczność porównuje jego działalność z działalnością profesjonalistów. Różne przypadkowe chałtury takich zespołów w klubach studenckich wyrządzają autentycznemu ruchowi studenckiemu wiele złego. Jest to często lansowanie chałtury pod różnymi postaciami. Skutek — grupy politechniczne występują bardzo rzadko w klubach (bywa, że też wolą gdzieś „chałturzyć” czerpiąc przykład ze swych kolegów profesjonalistów). Nie praktykuje się jak dotąd dobrze pojętego lansowania twórców studenckich, które oprócz tego, że zapewnić może pewne niezbędne warunki materialne, jest także podstawą powodzenia.

K. WILCZYŃSKI: Dlatego też chcemy stworzyć agencję artystyczną „Polgart”, której działalność będzie polegała właśnie na lansowaniu młodych twórców (oraz na zapewnieniu im warunków materialnych, z finansowymi włącznie). T. WIELICKI: Zanim ona jednak powstanie — jakie wnioski z istniejącego stanu rzeczy należy wyciągnąć dla dalszej działalności? Czy kulturze studenckiej grozi dewaluacja?

K. WILCZYŃSKI: Obecny stan rzeczy wskazuje na to, że dotychczasowe formy nie odpowiadają już studentom. Nie jest chyba żadnym pocieszeniem, że inne ośrodki mają takie same problemy. Dochodzi przecież do zamykania klubów. To więc my sami zniechęciliśmy studentów do tego, co im serwujemy.

Z. BURZYŃSKI: Żle się dzieje na wszystkich szczeblach. Przykład — ZW SZSP proponuje nam sprzedaż np. „Old Metropolitan Band” (i innych profesjonalistów). Wniosek — brak autentycznych pomysłów. W tej chwili liczy się na zawodowców. Nie chcę zwać winy „o piętro wyżej”, chcę tylko powiedzieć, że przyczyny obecnego stanu, który — co do tego zgadzamy się wszyscy — jest zły, są trudne do zlokalizowania. Aby kultura studencka mogła się rozwijać, musi iść swoją własną drogą, należy unikać sytuacji prowokujących do porównań kultury profesjonalnej i studenckiej. Należy unikać tworzenia wyraźnego podziału na „odbiorcę” i „dawcę”!

T. WIELICKI: Obserwujemy od dawna ciekawe zjawisko — moim zdaniem bardzo niekorzystne — odbiorcami kul-

tury studenckiej są mianowicie w coraz mniejszym procencie studenci, coraz więcej zaś przybywa ludzi z zewnątrz, nie zawsze odpowiednich, a zwabionych głęboko zakorzenionym mitem owej studenckiej kultury. Oni też kształtują popyt na rozrywkę. Czy nie uważacie więc, że kultura studencka powinna być kulturą w pewnym sensie elitarną?

Z. BURZYŃSKI: Kultura nie może być zamknięta, lecz zgadzam się, że winniśmy tworzyć tę kulturę w dość zamkniętym gronie.

T. WIELICKI: I według zapotrzebowania studentów i tylko studentów. Jednocześnie owo zamknięcie się w swoim gronie trzeba bardziej rozumieć jako poważne zwiększenie integracji samego środowiska studenckiego wszystkich uczelni Wrocławia.

K. BURZYŃSKI: To, co mnie najbardziej boli, to upadek tradycji. Takie „powitanie wiosny” dawniej było spontaniczną zabawą, a teraz? Sami wiecie jak wyglądają tego typu imprezy. Ilość włożonego w ich organizację wysiłku jest niejednokrotnie niewspółmiernie większa od efektów.

A. KRZESIŃSKI: Uważam, że do upadku spontanicznych, gromadnych zabaw przyczyniło się np. zaprzestanie organizacji żakina. Była to kapitalna okazja do zacieśnienia więzi z resztą „braci żakowskiej”, do nawiązania znajomości, czy wreszcie do wyjścia z inicjatywą na zewnątrz, do innych studentów czy też po prostu mieszkańców miasta.

Fot. J. BORTKIEWICZ



K. WILCZYŃSKI: Wniosek — warto zacząć współpracę z innymi uczelniami. Inicjatywa powinna wyjść od Komisji Kultury ZW SZSP. Lecz jak do-
tąd, nic się nie dzieje.

Z. BURZYŃSKI: Trudno oglądać się na innych i czekać. Z ZW SZSP inicjatywy wychodzą dość rzadko i raczej kiepskie.

A. KRZESIŃSKI: Czy zauważyliście jak bardzo się ostatnio zmieniło zdanie społeczeństwa o studencie? Dawniej student to był „student żebrak, ale pan”. Studenta ceniono za to, że zdobywa wiedzę, spotykał się z bezinteresowną sympatią. Obecnie gdy ktoś mówi o kimś „student”, brzmi to prawie jak obraza. Epitet „student” stał się niemal synonimem chuligaństwa, upadku moralnego i Bóg wie czego jeszcze. A przecież sami studenci aż tak się nie zmienili. Może więc jest to efekt nieodpowiedniego przenikania się różnych środowisk? Szkoda nam trochę tego mitu, tak przecież nieszkodliwego i jakże sympatycznego.

T. WIELICKI: Wszyscy sobie zdajemy sprawę, że podstawową komórką realizującą działalność kulturalną w środowisku studenckim — jest klub studencki. Chciałbym zwrócić naszą uwagę na fakt, że „klub” oznacza pewną zorganizowaną grupę ludzi realizujących swoje zainteresowania (najczęściej kulturalne) w jednym określonym miejscu, a nie tak, jak to dzisiaj zwykliśmy rozumieć — lokal z kilkoma stolikami i grającą szafą. Czy nie zastanawialiście się nigdy, że ma to również dość poważne konsekwencje w budowaniu całego modelu działalności kulturalnej? W efekcie doszło do tego, że kluby studenckie w dużej mierze stały się instytucjami taneczno-usługowymi działającymi w sumie dla bardzo przypadkowej publiczności. Razem z Wojtkiem Kozakiem jeszcze w trakcie przygotowania dzisiejszej dyskusji postanowiliśmy zaproponować wam przeprowadzenie pewnego eksperymentu. Czy nie uważacie, że byłoby celowe w ramach poszukiwania dróg uzdrowienia studenckiej kultury wyznaczenie jednego z klubów

do eksperymentalnej działalności na zasadach „klubu angielskiego”, który zrzeszałby określoną grupę osób (60 do 80) posiadających karty członkowskie klubu? Można dać wybranemu klubowi około pół roku czasu na stopniowe i ważne wybranie z tzw. stałych bywalców klubu tej grupy osób, która później mogłaby tworzyć zespół stałych członków. Wydaje mi się, że po takim rozwiązaniu można by się spodziewać wyraźnego podniesienia poziomu kultury serwowanej w klubach, gdzie przez dobór odpowiedniej, stałej i zgranej publiki zlikwidowałoby się styl tzw. biernego „zjadania” podawanej kultury, a przez to dużo łatwiej można byłoby wylapywać wszystkie jednostki twórcze drżące ciągle w naszym środowisku.

Z. BURZYŃSKI: To musi być proces długofalowy. Stałych sympatyków klubu trzeba zdobywać i to z ogromnym wysiłkiem. Trzeba stworzyć tradycję, a wiecie, że to jest trudne. Warto się nad tym poważnie zastanowić i wypróbować w praktyce.

Trudno jest podsumowywać dyskusję na temat problemów przed jakimi stanęła kultura studencka w formie dyrektywnych zaleceń i postanowień. Problem jest bardzo szeroki i w czasie dzisiejszej rozmowy mogliśmy omówić go tylko częściowo. Dlatego też niech wnioskiem zasadniczym wynikającym z naszej dyskusji będzie zasygnalizowanie zjawiska: Kultura studencka w swych wartościach twórczych i intelektualnych wykazuje tendencję zniżkową lub przynajmniej jest dużo poniżej ambicji naszego środowiska. Konieczna jest więc zmiana całego modelu działalności kulturalnej, zarówno w aspekcie twórców i organizatorów kultury, jak i jej odbiorców. Problem ten został dostrzeżony w skali ogólnopolskiej i wiele czasopism (szczególnie studenckich) poświęca tej sprawie wiele miejsca. Nasza dyskusja jest uzupełnieniem całego bloku artykułów na temat problemów studenckiej kultury, który nasza redakcja realizowała w ostatnich numerach. Chcąc, by obraz tej kultury przedstawiony w naszych materiałach redakcyjnych był jak najpełniejszy, zwracam się do działaczy i organizatorów kultury jak i do „konsumentów”, którym kultura studencka leży na sercu, by przysłali do redakcji swoje uwagi i refleksje na powyższy temat. Uzdrowienie kultury studenckiej nie może być zadaniem dla grupy zapaleńców, lecz zadaniem na miarę ambicji całego środowiska studenckiego.



Od 1 do 28 lutego br. w Klubie Pracownika Politechniki czynna była wystawa prac malarskich, a od 1 do 20 marca — prac graficznych wrocławskiej art. plast. — Hanny Zembruskiej. Wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem. Zwiedzającym szczególnie do serca przypadł liryczny, melancholijny nastrój ulubionych motywów malarki: dzieci, kwiatów, zwiennych panien, starej architektury. Obecnie otrzymać jeszcze można wydany przez Klub pamiątkowy katalog z krótką informacją o wystawie i reprodukcjami prac H. Zembruskiej.

spotkanie z plastykiem

Zdjęcia: K. DUDEK



Wiedza w kusej szacie

Pan Wojciech Aleksiewicz we wstępie do swojego Raportu o stanie kultury solennie obiecywał, że będzie poruszał problemy niebagatelne. Treść artykułu całkowicie odpowiada zapowiedzi. Fakty, z jakimi autor nas zapoznaje są wstrząsające. Należy tylko żałować, że nie zostały opracowane bardziej dokładnie wyniki przeprowadzonej przez autora pomysłowej ankiety. Ponieważ mam okazję od dawna obserwować tzw. kulturę studencką (przypomina mi ona trochę dumnego niegdyś orla przemienionego w wyleńskiego wróbla), pozwól sobie odpowiedzieć na parę pytań, które autor pozostawił bez odpowiedzi.

Powolność działania organizacji studenckich na polu kultury jest co najmniej zastanawiająca. Szczególnie środowisko wrocławskie wykazuje w tej mierze wielkie beztalencie i ogólne obniżenie poziomu ambicji. Aż dziw bierze, że za tak mizerne skutki swojej działalności oczekuje się ogólnego aplauzu i poleruje głowy pod wieńce laurowe! Nawet po zreorganizowaniu podstawowego związku studentów, reorganizacji, która miała — jak niektórzy zapowiadali — wzmocnić jej kręgosłup, paraliż „kulturalny” występuje w dalszym ciągu. Bezradność i niemrawość działania doprowadza niekiedy do furii. Przez trzy miesiące Dyskusyjny Klub Filmowy SZSP, Klub który na przestrzeni prawie 20 lat swojej działalności położył ogromne zasługi w propagowaniu sztuki filmowej w środowisku studenckim, musiał zawiesić swoją działalność z powodu... braku sali do projekcji. Można by przypuszczać, że Wrocław to wiocha, w której jedyne kino mieści się w byle remizie ochotniczej straży pożarnej. Jak można oczekiwać poważnej i zakrojonej na szeroką skalę akcji od organizacji, która wykazała prawdziwe niedołęstwo przy rozwiązywaniu tak błahego problemu. Jak można oczekiwać sprzyjającej atmosfery i popierania nowych (a więc ryzykownych) inicjatyw, jeżeli tak niemrawo reaktywowano działalność tak ambitnie przez wiele lat działającej instytucji jaką jest DKF SZSP? Ja wiem, że istnieje Kalambur, Gest, Jazz nad Odrą i Festiwal. Część i chwała ich organizatorom. Ale kulturą należy zasilac — i to systematycznie — również „dół”. A im bliżej dna, tym praca jest bardziej katorżnicza i satysfakcje zdobywa się kosztem o wiele większego wysiłku niż przy organizowaniu np. Festiwalu. Należy uczyć i jeszcze raz uczyć studentów, zwłaszcza tych świeżo upieczonych, jak należy korzystać ze źródeł kultury, pomagać im w wyborze tego, co najwartościowsze.

Lecz, czy wszystkiemu winna jest Organizacja? Przecież od czasu do czasu pojawiają się błędni rycerze, „kulturowi” Judymowie, którzy podej-

mują wysiłki stworzenia czegoś na prawdę ambitnego. Przecież nie można obciążać organizacji całkowitą winą za to, że w przeważającej większości akcje te spalają na panewce. Bo jeżeli nawet organizacja nie robi nic, by pomóc tym „demiurgom”, mając ich np. za kompletnych szaleńców, a ogranicza się jedynie do obserwacji i zdawkowej oceny, to jeszcze na pewno nie można posądzać jej o to, że z rozmysłem torpeduje te poczynania. Przyczyn prawdziwych klęsk, jakich doznają pewne akcje kulturalne należy upatrywać raczej w czymś innym.

Kultura, to pojęcie bardzo szerokie. Kultura, to między innymi również codzienne mycie nóg, spuszczenie po sobie wody i nieużywanie wyrazów. Może jeszcze o tym kiedyś napiszę, bo temat bardzo frapujący, ale dzisiaj chciałem wspomnieć o czymś innym. Kultura, to także wiedza, która nie przychodzi bynajmniej sama, żeby ją zdobyć, nie wystarczy uzyskać dyplom wyższej uczelni. Boy pisał kiedyś o pewnej kategorii pań: „męczą, dręczy w dobrej wierze swego mózdzku biedne centra, na czworakach się gramoli na kultury wyższe piętra”. Mam wiele powodów, by mniemać, że w pewnych kołach studenckich zrezygnowano już z tej nawet pełnej mozołu wspinaczki uznawszy rzecz z góry za przegraną, czy nie warta zachodu i dochodząc do wniosku, że świat oferuje również rozrywki za mniejszą cenę. Nastąpiło przegrupowanie ideałów, wśród których prym wiodą wartości mniej lub bardziej dokładnie przetrawione (telewizja), wyprute z wszelkiej ambitniejszej treści (kicze filmowe i literaturowe) oraz niedostatecznie przefermentowane (wino markowe). Przedstawiciele kół, w których ta ostatnia wartość odgrywa niepoślednią rolę, zdolni są zwulgaryzować każdą bez mała imprezę.

Pan Aleksiewicz z żalem wzdycha za legendarnymi igrami studenckimi. Fakt, że ich teraz brak, niezupełnie obciąża działaczy. Podczas tych igrców, obok fontann młodzieńczego humoru wybuchały nierzadko gejzery zwykłego chamstwa. Np. na rajdach oprócz prawdziwych turystów pojawiały się grupy wędrowniczków (bądź co bądź przedstawicieli przyszłej elity umysłowej), które wieczorami w stacjach turystycznych spędzały miło czas na zabawach połączonych z ciężką pracą polegającą na wyrzuceniu wszystkich ruchomych sprzętów przez okna. Grupy te nadawały nierzadko ton tym imprezom i wystawiały godne pożałowania świadectwo całemu (ludzie uwielbiają uogólnienia) środowisku studenckiemu.

Ale powróćmy do wiedzy. Jak to się dzieje, że wiadomości jakimi dysponuje student są nierzadko żenujące (dla otoczenia), są ubogie. Aż dziw, jak minimalna ilość posiadanych informacji zdawala niektórych osobników.

Przerazające jest lenistwo umysłowe, wręcz niechęć do zdobywania wiedzy, wstręt do wszystkiego, co pachnie kulturą, do wszystkiego, co trzeba przeżywać. Czyżby absolutny brak ideałów i kryteriów? Dlaczego jest tak mały popyt na dobrodziejstwa kultury, popyt, który w skrajnych przypadkach nie zadowoliliby chyba nawet społeczeństwa neandertalczyków?

W pewnej mierze winne są szkoły. Mamy to, czego należało oczekiwać. Nadanie większej rangi regułkom niż samodzielnemu myśleniu nie mogło przynieść innych rezultatów. Przeladowanie programu, niewłaściwy jego dobór polegający na nieumiejętnej selekcji, powodują, że uczeń zadowolony jest ze zdobycia wiedzy zdawkowej, niedostatecznie przemysłanej. Na dalszych etapach kształcenia pojawiają się skrypty, które mimo pewnych walorów mają jedną zasadniczą wadę: umożliwiają przejście przez studia bez studiowania tzn. bez szperania w bibliotekach i w książkach. Nie dopinają się słabych, chwiejnych jednostek do samodzielnego zdobywania wiedzy i do jej selekcjonowania. Ci, którzy czytają „madre” książki, przesiadują w bibliotekach, będą czynić to nadal, podciągając mizerną średnią, natomiast tych bardziej niezdecydowanych pociąga nurt lenistwa i marazmu w kierunku wytyczonym jaskrawym napisem: minimum.

Byłoby połową biedy, gdyby lenistwo umysłowe, brak zainteresowania zdobyciami cywilizacji dotyczył wszystkiego za wyjątkiem (w wypadku młodszych studentów) techniki. Ale i na tym polu, co jest niezmiernie zastanawiające i smutne, jest bardziej niż fatalnie. Już kandydaci ubiegający się o przyjęcie na Politechnikę wykazują absolutny brak zainteresowań technicznych. Nierzadko nie umieją oni opisać jak działa np. dzwonek czy silnik elektryczny. Zdarza się, że zapytani o maszynę cieplną, po chwili wahania (co należy im jednak zapisać na plus) wskazują: na grzejnik c.o. Zupełne nieporozumienie! Trudno nauczyć człowieka czegoś, czym się ten ktoś nie interesuje, czym się niemal brzydzi. Po co skazywać na długotrwałe męczarnie zarówno stronę sprzedającą jak i kupującą wiedzę. Szkoda chyba czasu, zarówno jednego jak i drugiego. Zdarza się niestety, że i studia na Politechnice nie zdołają w słuchaczach obudzić zainteresowania techniką, a niebezpieczne zawężenie wiedzy, graniczące już z brakiem inteligencji i wtórnym debilizmem występuje też nierzadko u studentów starszych lat. Nie tak dawno byłem świadkiem dyskusji studentów IV roku na temat satelitów Ziemi. Kiedy w trakcie pracownianego kolokwium, zaniepokojony pewnymi odpowiedziami dwóch studentów zapytałem, czy satelita krążący po orbicie musi mieć napęd, zapadło kłopotliwe dla obu stron milczenie. Aby podtrzymać rozmowę, zacząłem naprowadzać studentów na właściwą odpowiedź, co niestety skończyło się niepowodzeniem i byłem niejako zmuszony udzielić jej sobie sam. I wtedy okazało się, że zdania są podzielone.

Jeden z moich rozmówców był raczej skłonny przychylić się do mojego twierdzenia, drugi jednak obstawał przy tym, że satelita spadnie na Ziemię, jeżeli nie będzie napędzany. A wszystko zaczęło się od... tranzystora. Zainteresowani orientują się, jaki bezmiar pojęć dzieli zasadę działania tranzystora od układu planetarnego. Jaki bezmiar elementarnej wiedzy, niezbędnej nie tylko dla podstawowej inteligencji technicznej, ale i inteligencji w ogóle, uszedł uwadze tych dwóch studentów. Jest to jeden z wielu przypadków, z jakimi spotkałem się w swej krótkiej karierze, przypadków ukazujących ubóstwo umysłowe niektórych studentów, wynikłe z absolutnej niechęci przemyslenia do końca jakiegokolwiek problemu. Specjalnie przytoczyłem taki przykład. Tu już bowiem po prostu nie wypada się tłumaczyć, że „wykłady z fizyki mieliśmy dawno”. Jak można w dobie lotów kosmicznych NIE ZASTANAWIAĆ SIĘ nad tym, jak to się dzieje, że tam sobie ludzie krążą w takich metalowych pudełkach wokół Ziemi. Jakże żał mi tych studentów! Jakże musieliśmy ich męczyć! Jakie tortury przeszli zmuszani do pobierania wie-

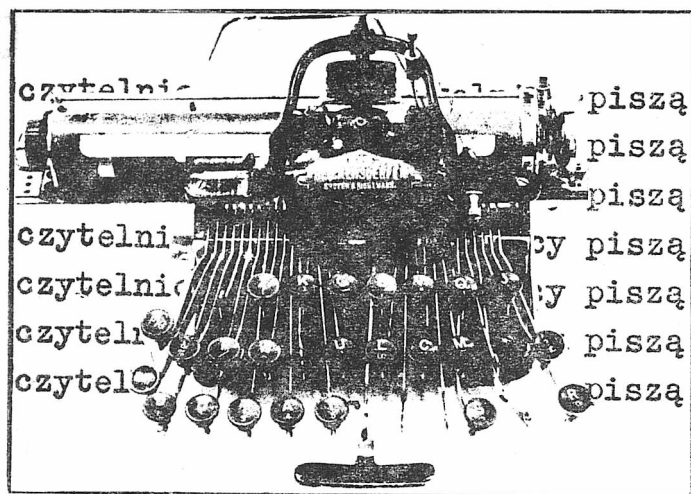
dzy! Ile trudu musieli włożyć w to, aby wybrać niezbędne minimum do zdania egzaminów, ilu musieli doznawać rozterek i rozczarowań. Jakże żał mi tych ocalałych strzępków wiedzy, które musiały tak twardo walczyć, czepiając się byle fałdki na mózgu, aby nie zostać wymiecionymi przez szalejący po jego pustynnych obszarach huragan marazmu!

Chciałbym umieć zachęcić do zainteresowania się tym, co nas otacza, do ciągłego poszerzania swoich horyzontów. Chciałbym jednocześnie przestrzec, że jest to proces jak prosta, a więc — nieskończony, (w obu kierunkach!). Chciałbym przestrzec przed zbyt dużym przecenianiem posiadanych wiadomości i ich bezkrytyczną eksploatacją bez niezbędnych uzupełnień.

Nie tak dawno ukazała się w „Słowie Polskim” następująca notatka: „Pracownicy talińskiej fabryki urządzeń pomiarowych skonstruowali przyrząd, który z chwilą, gdy zapadnie zmrok, automatycznie włącza światła pozycyjne samochodu i to zarówno w czasie jazdy, jak i na postoju. Włączenie światła następuje na sygnał fotokomórki.

Fachowcy są zdania, że po pewnych zmianach konstrukcyjnych można by analogiczny przyrząd zastosować do automatycznego zapalania latarni ulicznych i światła w fabrycznych halach. Dziennikarz redagujący tę notkę wykazał rozbijającą ignorancję. Przecież fotokomórka, obok innych zastosowań, od dawna zapala oświetlenie uliczne nawet w najgorszej pipidówce, włączając w Wroclawiu. Ba, w krajach położonych bardziej na zachodzie zaprzęgnięto ją również do takich czynności jak np. automatyczne otwieranie drzwi i uruchamianie wodotrysków w pisuarach. A fakt, że tylko ciężką i mozolną pracą można zdobywać wiedzę i uzupełniać braki (tym bardziej te sięgające szkoły średniej) dotyczy wszystkich. Dla nikogo nie przewidziano ulg. Ani dla studentów, ani dla dziennikarzy. Autor przytoczonej notatki zatytułował ją „samo się zapala”. Otóż Nie! Kaganek wiedzy sam się nie zapali! Przestrzegam wszystkich, którzy ludzją się jeszcze nadzieją, że jest inaczej!

PEPE



czytelnicy piszą

W 5/55 numerze „Sigmy” ukazał się artykuł PEPE pt. „Ratujmy klub!”. A oto kilka słów na ten temat od nas, studentów.

Ciekawe, że widzi Pan PEPE, tylko studentów niechlujnych i podpite studentki (a propos, czy ta dziewczyna miała na czole wypisane, że jest studentką?). Przyjrzyjmy się innym gościom klubu. Są to nasi kochani wykładowcy, asystenci, młodzi naukowcy. W porządku. Mają pełne prawo bywania w klubie. Ale czy nie zauważył Pan, drogi Bywalcu, że te pełne popielniczki, szklanki i filiżanki zostawiają na stolikach także spieszący na zajęcia młodzi pracownicy naukowcy? A przecież tak niewiele czasu potrzeba na sprzątnięcie naczyń, czy ustawienie stolików i foteli. Dlaczego wszystkie te przewinienia przypisuje Pan studentom? A czy zauważył Pan, w jakim dostojnym towarzystwie można spotkać młode dziewczyny (wyludżające „porządnym” ludzioru pudełka zapalek)? Chcemy cenić swych wykładowców i prowadzących ćwiczenia. Ich autorytet jest w końcu bardzo ważny.

Tak, ma Pan rację, studenci stanowczo nie powinni być w tym klubie, zwłaszcza wieczorami. Ale cóż, zdarza się, że nieraz można nas spotkać i w Klubie Pracownika. Proszę jednak zrozumieć, że student też człowiek. I trudno mu się dziwić, że chciałby wypić kawę, herbatę czy też czasami porozmawiać. Nie widzę nic w tym dziwnego, że bywamy również w tym klubie. Jak dotąd nie widziałam jeszcze klubu zamkniętego, celowo izolującego się od ludzi

z innego środowiska. Jak sam Pan zauważył, szcycimy się równością i demokracją, ale studentów toleruje Pan jedynie jako konieczność.

Pisze Pan również, że nasze postępowanie sięga granic. Może, ale na pewno ich nie przekracza. W każdym środowisku znajdują się ludzie, którzy nie zawsze postępują zgodnie z ogólnie przyjętymi zasadami. I wśród nas są tacy, ale na pewno są to nieliczne wyjątki (zrobimy wszystko, aby ich było jak najmniej). Trudno jednak na tej podstawie wystawiać opinię całemu środowisku akademickiemu, zwłaszcza, że przecież większość z zamkniętego światka naukowego tak niedawno biegła z indeksami po zaliczenia i szczyliła się przynależnością do żaków.

Razi Pana młodzieńcza żywiołowość studentów, ich wesołość. Czyżby wyrósł Pan z tego? Kochamy naszą Uczelnię i dumni jesteśmy z możliwości studiowania właśnie tutaj. Potrafimy, jak wszyscy młodzi ludzie, śmiać się i cieczyć, bawić i solidnie przysiąść fałdów, a Pan bez najmniejszych skrupułów wiesza na nas psy.

O naszej kulturze zachowania niech świadczą spotkania w innych klubach. Niemożliwe jest, abyśmy wszędzie zachowywali się jak przystoi studentom, a tylko w Klubie Pracownika byli inni. Chyba wprost przeciwnie. Staramy się zachowywać możliwie najprzypadniej, zwłaszcza w obecności wykładowców i asystentów.

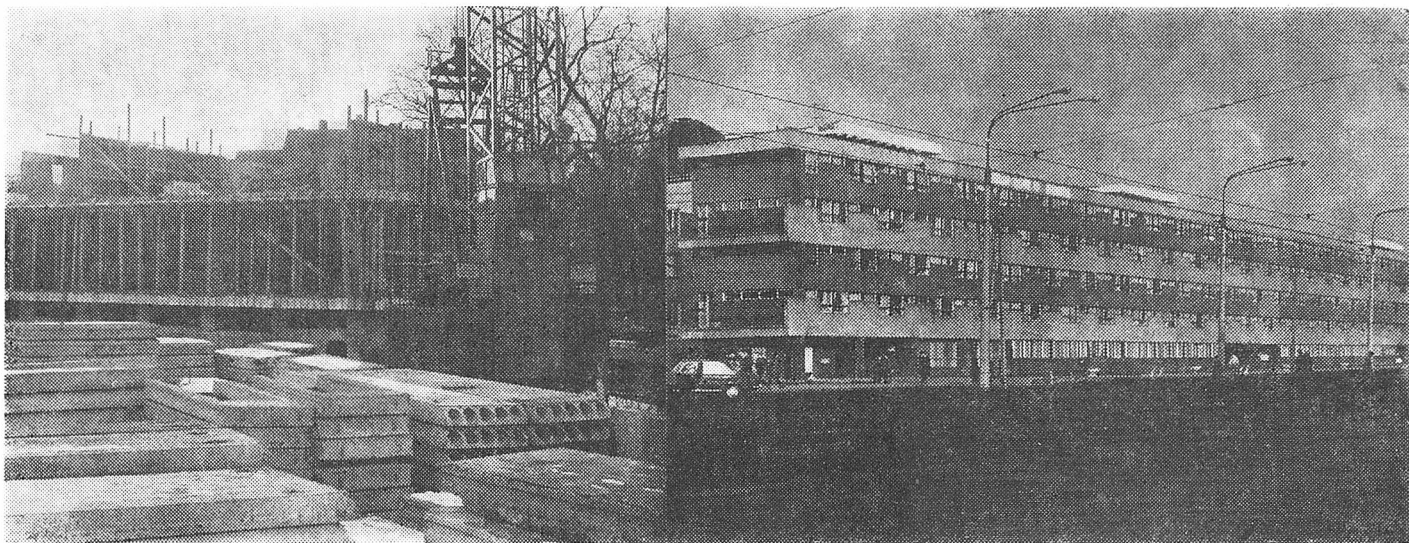
Muszę zresztą stwierdzić, że studenci z dużo większą ochotą bawią się w klubach studenckich, których jest niemało. Czy słyszał Pan o klubie „U Grubego”, klubie studenckim? Można tam spotkać i pracowników Politechniki i żaków. Nikt nie sprawdza legitymacji, nie wymawia też ciasteczek. I o dziwo, wszyscy żyją w zgodzie, bawią się razem i dyskutują. Podobnie miło przebiega współpraca z Klubem Prawnika. Chętnie jesteśmy zapraszani na dyskusje, spotkania, wystawy.

Z Klubem w A-1, to bardzo dobry pomysł. Takowy klub znajduje się w D-2. Nie od nas jednak zależy utworzenie nowego. Przy obecnych trudnościach lokalowych w Gmachu Głównym jest to na razie niemożliwe. Jestem natomiast pewna, że gdyby taki klub powstał, nikt nie wyrzuciłby gości. Z największą radością przyjęlibyśmy fakt, że wszyscy czują się jak w domu, jak gospodarze klubu.

Wyraził Pan chęć podjęcia współpracy. Czy rzeczywiście wyciągnąłby Pan pomocną dłoń do nas, bałaganiarzy i niemalże chuliganów? Nie sądzę, aby współpraca była możliwa na zasadach podanych przez Pana. Zawiązanie bowiem więzów braterstwa nie zależy od ilości pomieszczeń, ale od ludzi, ich dobrych chęci, a tych brak. Jesteśmy dla Pana miłymi studentami tylko na odległość, boi się Pan bliższego z nami kontaktu. Pocieszamy się, że niewielu pracowników Politechniki jest przeciw nam i z ich strony nie spotykamy się z taką złośliwością.

A propos, gdzie Pana dobre zwyczaje i zasady — tak dłużyć w nosie w oazie ciszy i spokoju?

(jako)
[nazwisko znane redakcji]



To będzie 11-piętrowy Dom Studencki

Parawanowiec — po prostu nasz dom

Fot. W. PAWLICKI

„aby nam się lepiej żyło”

Można chyba powiedzieć, że w chwili obecnej większość mieszkańców Wrocławia „żyje” trasą W-Z. Jedni się fascynują, inni zastanawiają, czy aby nie będzie to kolejny niewypał. Ale nie tylko trasa W-Z zmienia architektoniczny wygląd Wrocławia, przybawiają nam nowe bloki, dzielnice... miasto czerpie korzyści z urbanistycznej przebudowy podniszczonych, a niekiedy i zaniedbanych dzielnic stolicy Dolnego Śląska, ładnieje... Mieszkańcy otrzymują ładne, przytulne mieszkania na Krzykach.

A Studenci? Właśnie... może teraz, gdy zdecydowano o skomasowaniu życia studenckiego w rejonie ulicy Wittiga i Chelmońskiego, rozładują się trochę pękające w szwach Domy Studenckie „Sezam”, „Olimp” czy (uf!) „Fosik”. Trzeba przyznać, że lokalizacja jest trafna. Biskupin, to dzielnica cicha, chroniona przed nawiewami fabryk trującymi skutecznie wrocławską atmosferę, to wreszcie — obszar nie oddalony zbyt daleko od Uczelni. Kolejnym atutem przemawiającym za lokalizacją jest przepływająca opodal Odra. Nie chcę tu zachęcać do przyszłych odzkańskich kąpiel, bo, kto by zaryzykował. Otóż koryto w tym rejonie świetnie nadaje się na lokalizację przystani żeglarskiej, a wiadomo przecież, że brać studencka zamieszkująca akademiki chętnie skorzysta z takiej oferty. Skoro zdecydowano o budowie, powiem więcej — skoro już buduje się, wypada zapoznać Czytelnika, a może i przyszłego gospodarza terenów przy Wittiga czy Chelmońskiego ze wznoszonymi obiektami.

Gdy byłem na początku grudnia na miejscu budowy, dopiero fundamenty i pierwsze ściany świadczyły o tym, że będą tu stały jedenastopiętrowe budynki. Przystąpiono do budowy z opóźnieniem, a i tempo robót nie świadczyło o zbyt dużym zaangażowaniu pracujących robotników. Pod koniec roku sytuacja uległa trochę zmianie, zostało wymienione kierownictwo robót, ściany trochę podskoczyły, ale nadal nadzór narzekał na brak rąk do pracy. Mimo to, obiecano oddać blok (ten dla Politech-

niki) w siedemdziesiątym czwartym. Rzeczywiście widać już znaczną poprawę w tempie robót i wszystko wskazuje, że tym razem wykonawca zmieści się w limitowanym terminie.

A trzeba wiedzieć, że jest na co czekać. Wyposażenie budowlane akademika będzie zbliżone do „Dwudziestolatki”, choć w niektórych przypadkach — przynajmniej o klasę wyższe. Np. jeden sanitariat przypadać będzie na dwa pokoje, a pokoje będą od dwu- do pięciosobowych (w porównaniu z Fosą, to luksus). Wspinaczkę na wyższe piętra ułatwiać będą windy, choć nie kursujące z szybkością tych z Pałacu Kultury, ale miejmy nadzieję, że równie sprawne (choć ktoś kiedyś powiedział, że nadzieja matką... no np. wynalazku).

Mieszkańcy wspomnianego Domu Studenckiego będą mogli poświęcić część swojego wolnego czasu na uprawianie wielu dyscyplin sportowych. W pobliżu bowiem istnieje boisko „Budowlanych”, a nasi „specjaliści od umów” z AZS-u potrafią chyba „dogadać” się z tym zasłużonym klubem Wrocławia. Sala sportowa przy ul. Chelmońskiego ma wyposażenie, którego pozazdrościć mógłby niejeden wyczynowy klub sportowy. Obok niewielkiej, skądinąd przytulnej sali, znajdować się będą szatnie z natryskami i innymi niezbędnymi sanitariatami, gabinety lekarskie z nowoczesną aparaturą medyczną. W planach jest również gabinet regeneracyjny z masażystą. O tym, co z tych pięknych planów wyniknie, przekonamy się już wkrótce.

Jak wspomniałem, władze Uczelni planują zagospodarować tereny przy Wittiga i Chelmońskiego tworząc tam małe miasteczko studentów Politechniki.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o planowanym przekształceniu Studium Wojskowego w ośrodek rekreacyjny. Właściwe zagospodarowanie tych terenów umożliwi studentowi godziwe spędzenie wolnego czasu, którego będzie mu teraz przybywać z roku na rok.

Piosenka anty-abstynencka

Wstawaj w mig, chluśnij łyk, zapal
peta.
Cóż, żeś dziś musiał spać „na waleta”?

Trudny szlak? Myślą tak niedołągi
Śmieję się w nos. Cóż wart los bez
włóczęgi!

Jeśli trza, wypij na drugą nogę
Szumi las, a więc czas ruszać w drogę.

Trudny szlak?..

Pasmo gór spoza chmur i gitara
Równy krok, jasny wzrok — idzie
wiara!

Trudny szlak?..

Kijów stuk i ból nóg — tak wypada!
Lepiej iść, niżli gnić na wykładach.

Trudny szlak?..

MARIA KISZA
(Godło: „Gall Anonim”)

(III nagroda w konkursie na tekst piosenki)

Fot. E. VOGT



CO NAM ZOSTAŁO Z TYCH LAT...



**czyli
ciemniejszy
odcień
szarości**



Festiwal jest konkursem. Ma swoje jury, swoje nagrody. Jako taki ma być szansą wyłowienia potencjalnych indywidualności, młodych kadr dla naszego, znakomitego wprawdzie i wiecznie młodego duchem, lecz już mocno lysiejącego jazzu. Jurorzy, przeważnie śmietanka polskich jazzmanów rokrocznie z niecierpliwością wyczekują objawienia na miarę Nahornego. A naprawdę — na Godota. Od kilku lat słychać komentarze: tak, było dość dużo dobrej muzyki, ale... W tym roku natomiast było niewiele dobrej muzyki, ale za to każdy laik jazzowy mógł się doskonale zorientować, co aktualnie „jest grane” w tym jazzie. Usłyszeliśmy dziesiątki nieudolnych kopii Mahawishnu Orchestra, Weather Report, wszelkiej „hinduszczyzny” oraz Namysłowskiego, którego *Winobranie* robi zasłużoną (choć nieco spóźnioną) karierę. Ponieważ piszę tu o JnO jako o konkursie, wypada mi dodać kilka słów o wynikach tego konkursu. W tym roku jury spełniło swoje

niewdzięczne zadanie całkiem poprawnie: zauważyło wśród szarej masy estradowych produkcji różnych jazz-profanów to, co można było zauważyć, milczeniem pomijając całe morze amatorszczyzny. Zauważyło więc wrocławski Spisek Sześciu, który od ubiegłego roku poczynił niewiarygodne postępy, krakowski *Extra Ball* oraz Kwintet Piotra Pibera. Nieśluszenie pominięto największą indywidualność tegorocznego festiwalu, znanego już publiczności JnO Piotra Prońkę (saksofon barytonowy). Tyle, że niestety, nie jest on odkryciem JnO-74, a JnO-72 i już na tyle zadomowił się w polskim jazzie, że jego występ na tegorocznym JnO przynosi więcej korzyści festiwalowi niż jemu samemu.

W tym roku pozbawieni zostaliśmy jazzu tradycyjnego — konkurs obejmował tylko zespoły tzw. nowoczesne. Trudno powiedzieć, czy to dobrze czy źle, bo argument, że jest „Złota Tarka” do mnie, Wrocławianina, nie przemawia. Wolalbym sobie na miejscu posłuchać trochę jazzu tradycyjnego, niż jeździć w tym celu do Warszawy.



**

Nie brakowało jazzu tradycyjnego na tzw. imprezach towarzyszących. Okazje ku temu były — dziesięciolecie Hagawu, występ laureatów „Złotej Tarki” (niestety bez *Gold Washboard*, któremu nie bardzo chciało się z tak błędnego powodu jak JnO wracać ze Skandynawii), a wreszcie — wiadomo wszak, że taki jazz cieszy się największą popularnością. Skoro jednak jesteśmy przy imprezach towarzyszących, parę słów o nich. Zaczęło się to kilka lat temu od jakiegoś gigantycznego meeningu jazzowego w Hali Ludowej i tak już się ciągnie po dziś dzień. Mało tego — całe te „imprezy towarzyszące” rozrosły się do monstrualnych rozmiarów. Wystarczy uprzytomnić sobie, że „konkurs właściwy”, to tylko cztery koncerty punktowane plus występ laureatów. A imprezy towarzyszące (w tym roku), to *Happy Jazz* w Hali Ludowej (nie tyle happy co nudny, nawet sam jubilat Hagaw prezentował się w tym roku nienadzwyczajnie), codzienne „jazzowe popołudnia” w Pałacyku, codzienny *Jazz by Night* w Piwnicy Świdnickiej, *Młody Jazz Europejski* w WDK (to chyba jedna z najmniej nadających się do grania jazzu sal, z niepowtarzalnej atmosfery dużego studia Polskiego Radia pozostało tylko duszne powietrze na sali) oraz koncert finałowy w Teatrze Polskim. Oczywiście — same sławy; i NOVI, i Namysłowski, i Stańko, i Old Metropolitan Band, i Gwalbert Misiek itd. itd. Tyle, że przy takich proporcjach festiwal „właściwy” staje się imprezą towarzyszącą i powoli traci swoją rangę. Trudno. Dobrze, że choć raz do roku można u nas usłyszeć dobrych jazzmanów. To wystarczy, bo w międzyfestiwalowym okresie jazzem mało kto się interesuje.

Wrocławski JnO zdobył sobie opinię imprezy o niepowtarzalnej, wspaniałej atmosferze, a o Pałacyku krążą legendy jako o miejscu wspaniałych nocnych spotkań prawdziwych

jazzmanów. Domyślam się, kto taką opinię urabia. Wystarczy przyjrzeć się uczestnikom nocnych pałacykowych jam-sessions (które są w istocie sesjami alkoholowymi). Prym wiodą ludzie z jazzem dość luźno związani, ci sami zresztą co roku, z kół zbliżonych do organizatorów, bliscy znajomi jazzmanów etc. etc. Dla nich JnO, to po prostu wspaniała okazja do popicia. Zmieniają się style w jazzie, odchodzą jedni muzycy przychodzą inni. ONI pozostają na swoich posterunkach — przy butelkach za kulisami, przy butelkach w pałacyku, przy butelkach w „Piwnicy”. Dożywotni członkowie różnych BOF-ów, dożywotnio akredytowani przy festiwalu. Oni to krzyczą potem w prasie o wspaniałej atmosferze JnO. A atmosfera robi się coraz bardziej niezdrowa. Coraz gorsze sceny przed tzw. bramkami, natrętne kontrole przy każdym kolejnym wejściu na salę (złe nawyki z festiwalu teatrów: nic dziwnego — bramkarze ci sami), obsługa stoisk z plakatami, płytami i znaczkami niekoniecznie uprzejma (z wyjątkiem milej pani w okularach z gieldy w WDK, która w przeciwieństwie do jednego ze swych kolegów była bardzo miła), oczywiście te same twarze co na innych festiwalach. Wszędzie przepełnienie, duszno, ciasno. Nic dziwnego — wszędzie pełno doskonałych znajomych różnych dożywotnich organizatorów i bramkarzy, którym nietrudno jakoś się wkręcić lub dostać z racji znajomości legalną kartę wstępu. Szukanie takich dróg dojścia do festiwalu jest naturalną reakcją na galopujące ceny biletów na koncerty (Hala Ludowa — 60 zł, Teatr Polski — 50 zł). Gdybym wprost ubóstwiał jazz, długo wahałbym się, czy warto stracić kilkaset złotych, żeby to wszystko usłyszeć i zobaczyć. Jeszcze kilka lat temu tak nie było. „Jazz nad Odrą” rzeczywiście dojrzał do jakichś zmian. Warto się zastanowić, czy nie byłoby najlepiej zacząć od zmian personalnych.

WOJCIECH KOZAK

Zdjęcia: M. SIUDYM



"żeglować jest koniecznym..."



Fot. J. BORTKIEWICZ

Navigare necesse est, Vivere non est necesse" — to hasło pierwsze wpada mi w oczy. Jest namalowane na ścianie tuż pod stylizowaną mapą. „Żeglować jest koniecznym, żyć nie jest koniecznym”. Piękno...

Któż z nas nie marzył o podróżach, o lądach i morzach dalekich, o krajach za siedmioma górami i siedmioma lasami. W marzeniach powstają FARLANDIE — krainy wiecznej szczęśliwości, gdzie ziemia piękniejsza, powietrze czystsze, a i ludzie lepsi.

Potem marzenia przestają nam wystarczać. Chwytamy w ręce książki etnograficzne, oczy nasze sycimy widokiem ruchomych obrazów, które zostały zarejestrowane przez ludzi szczęśliwszych od nas, bo udało im się TAM być. Rozentuzjasmowani śledzimy losy podróżników, zwłaszcza tych, którzy samotnie, zdani wyłącznie na własne siły, przebijają się przez góry i morza, żeby poznać, odkryć, zobaczyć.

A potem... potem przychodzi moment, kiedy sami chcemy wyruszyć na wielką wyprawę, poznać smak spotkania z nieznanym — z WIELKĄ PRZYGODĄ!

Wrocławski Akademicki Związek Sportowy zrzesza ponad 600 żeglarzy, przy czym aż 157 osób działa w środowiskowym Jacht Klubie. Co ich łączy? Marzenia o podróżach? — To byłoby zbyt naiwne: Nie wszyscy pójdą śladami kpt. Krzysztofa Baranowskiego, tylko nieliczni wypłyną na szerokie wody. A mimo to, jest SPRAWA, która popycha tych ludzi, z „zawodu” studentów lub pracowników naukowych wyższych uczelni, do pracochłonnego zdobywania stopni żeglarskich, poświęcania swego wolnego czasu na poznanie spraw, które innym mogłyby się wydawać nudne i pracochłonne. Jest coś, co każe im spotykać się co drugi czwartek na zebraniach Koła Morskiego, czytać „Żagle”, szorować łajby. Może jest im po prostu dobrze w tej at-

mosferze entuzjazmu, marzeń, wspomnień. Zresztą, czy trzeba płynąć bardzo daleko, żeby się SPRAWDZIĆ?

Siedzimy teraz z Jurkiem, Andrzejem, Zygmuntem, Kazikiem i Jasiem w eleganckim pomieszczeniu klubowym. Jest wśród nas pani Karmena Stańkowska — pierwszy we Wrocławiu jachtowy kapitan żeglugi wielkiej. Na stole kawa, w gablotach kryształowe puchary — wszystkie zdobywcze. Dobrze, ciepło, można powspominać... Jurek sięga do szafy po gruby skoroszyt. Pamięć lubi zawodzić, a chcemy rozmawiać o sprawach poważnych i dla wrocławskiego Jacht Klubu mających ogromne znaczenie.

Zaczęło się mniej więcej tak: W listopadzie 72 roku Zarząd Środowiskowy wystosował pismo do Kolegium Rektorów w sprawie ufundowania jachtu pełnomorskiego dla Jacht Klubu Akademickiego Związku Sportowego. Odpowiedź przyszła niezwykle szybko, bo już w grudniu 1972 roku. Kolegium Rektorów przychyliło się do prośby, uznało zakup jachtu za celowy i w związku z tym poszczególne uczelnie zadeklarowały pewne sumy na jego budowę.

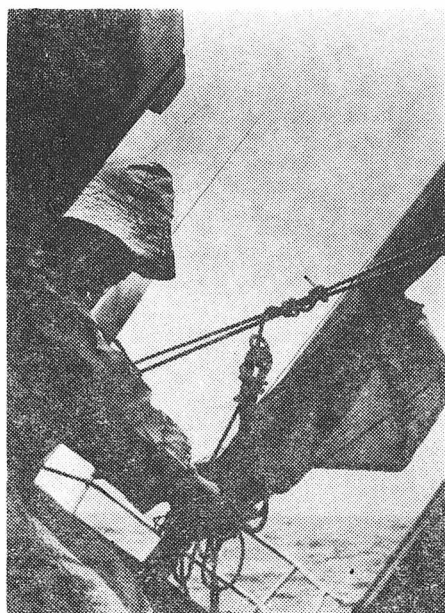
— Zdecydowaliśmy się zamówienie ulokować w Szczecińskiej Stoczni Jachtowej im. Leonida Teligi — mówi Jurek — i budować jacht typu Arcturus II. Jest to jednostka zbliżona swą budową do Poloneza: żagiel — 80 m², z genuą — 105 m², długość 13,5 m, z tym że nasz jacht przystosowany będzie do rejsów załogowych. W jednej wyprawie będzie mogło uczestniczyć 9 osób. Tak więc w sezonie trwającym od czerwca do października z jachtu skorzysta ponad 90 osób. Organizować będziemy przede wszystkim dwutygodniowe rejsy szkoleniowe — dodaje pani Karmena. Ma to dla nas ogromne znaczenie, bo przy zdobywaniu stopni żeglarskich liczy się ilość przepływanych mil. Do tej pory Wrocław, mający jedno z liczniejszych środowisk żeglar-

skich w kraju, korzystał tylko z rejsów organizowanych centralnie. Mimo to mamy na swoim koncie osiągnięcia. Gdyby za miarę zdobywanych sukcesów przyjąć ilość wypuszczonych stopni żeglarskich, ilość przepływanych mil — byłibyśmy na drugim miejscu w kraju, co jak na ośrodek śródlądowy jest zupełnie niezłe. — Nie mówiąc już o tym, że z naszego środowiska wywodzą się takie sławy jak kpt. kpt. Krzysztof Baranowski, Bolesław Kowalski — kapitan wyprawy „Śmiałego”, Ludomir Mączka płynący w tej chwili w samotnym rejsie przez Atlantyk w kierunku Ameryki Południowej — mówi Zygmunt.

- Kiedy dostaniecie Wasz jacht?
- Już w czerwcu — odpowiada Jurek.
- No to będą i podróże!

Fot. Z. SZRETER





Fot. J. MEJER

— O nie — śmieje się pani Karmena. To nie takie proste. Każdy jacht po oddaniu do użytku musi być dotrymowany. Dlatego trzeba będzie w pierwszym rzędzie zorganizować rejs kapitański, w czasie którego nasi kapitanowie wypróbowują jacht. Potem przyjdą rejsy stażowe (głównie krajowe), a „dalekie podróże” to dopiero sprawa przyszłości. Może za rok...

— Na razie martwimy się o to, żeby zdobyć resztę funduszy na budowę jachtu. Całkowity koszt tego przedsięwzięcia wyniesie 2 mln 400 tys. złotych (na razie dysponujemy sumą 1 mln. 400 tys. zł.). Poza tym potrzebne będzie odpowiednie wyposażenie, bo od wyposażenia zależy to, jaką klasę

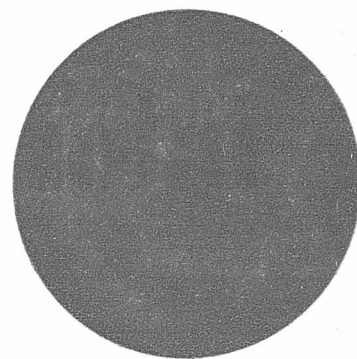
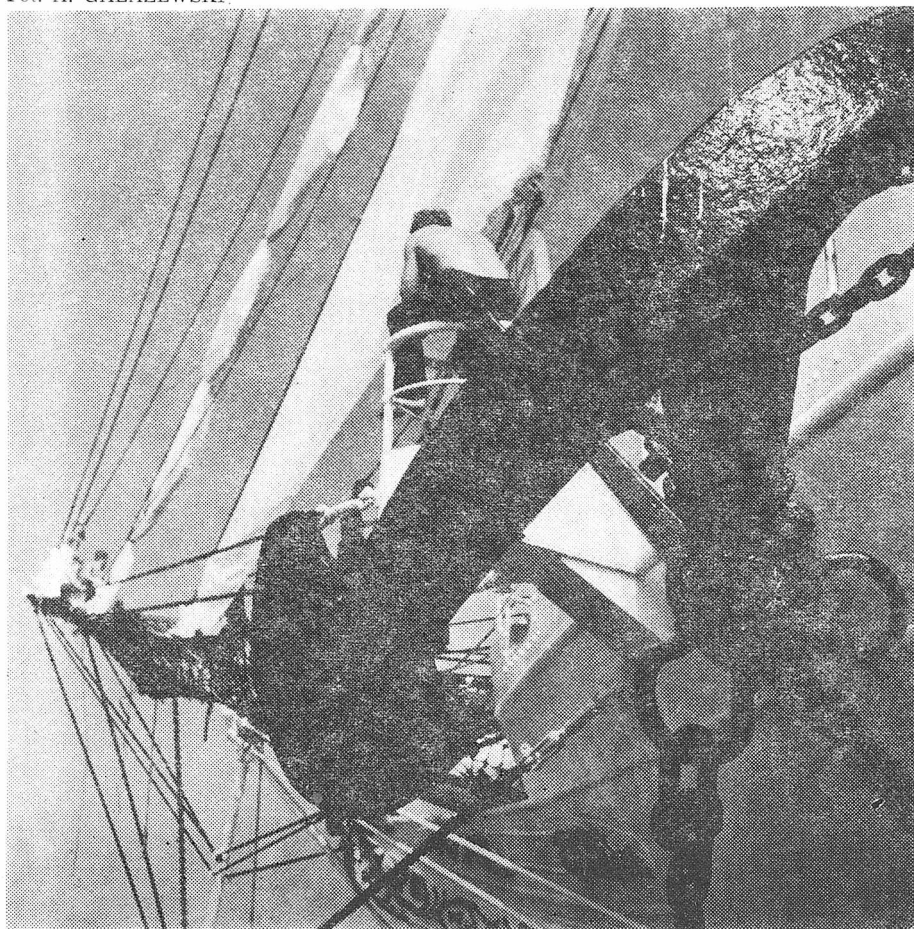
uzyska nasz jacht: czy będzie można nim pływać tylko po Bałtyku, czy po wszystkich morzach i oceanach świata.

Zaczynamy mówić o trudnościach. Ale nie tak zwyczajnie, żeby sobie ponarzekać. Oni są zapaleńcami, nie boją się drobnych raf. Wiadomo — ŻEGLARZE. (Ludzie, jak ja lubię ENTUZJASTÓW!)

Teraz przejdziemy na górę. Tam już śpiewają. Dochodzą do nas dźwięki „Morskich opowieści”. Jeszcze tylko toast — „za tych co na morzu”. I, oby Wam się udało chłopaki! Naprawdę bardzo Wam tego życzę!!!

MALGORZATA MICHALAK

Fot. A. GALAŻEWSKI



PRZEBŁYSKI

Henryk Jagodziński

W filmie, to dopiero walczyć o kadry.

*
Marzenie uzdrowiciela filmu: filmo-
apтека.

*
Nasze filmy są bardzo wartościowe:
przeciętny — kilka milionów.

*
Żołnierz jest niewdzięcznym celem
zainteresowań.

*
Gdyby nie psychiatrzy, można by są-
dzić, że wszyscy są wariatami.

*
Trudno z każdym głównym latać do dy-
rekcji MPO!

*
Elitarność masowa!

*
Satyryk też świadczy usługi dla lud-
ności, jeśli się z nich śmieją.

*
Ekonomiści czynią cuda, ale prokura-
torzy są na ogół niewierzący.

*
Wpadła mi myśl do głowy; chciałem
zrobić z tego aforyzm, ale myśl jest
lepsza.

*
Łóżko, to rzecz niemeska.

*
Kiedy wreszcie Polak może nie być
cholerykiem?!

*
Lubię parasol: rozepnę sobie, i już mam
gdzieś PIHM.

*
Celując do tarczy, uważaj, kto się za
nią kryje.

*
Nie lubię plagiatów. Wolę dziewice.

*
Jedyne, co jeszcze szczerze wzrusza wi-
dza, to ceny biletów.

*
Film przeżywa kryzys, ale nie produ-
cenci.

*
Nie wierzył już, ale wciąż w obrządku
chrześcijańskim.

*
U źródeł fizyki leży brak wyobraźni
matematyków.

*
Nie pomnażajmy liczby inteligentów
honoris causa!...

*
Poeta X zarzucił pocie Y erotomań-
stwo, poeta Y odwzajemnił się pocie X
zarzutem o bepciowości... i tak toczy
się ta dyskusja o poezji!

HENRYK JAGODZIŃSKI



Sprawy osobowe

Stanowisko dyrektora Pionu d/s Studenckich objął z dniem 1 marca br. doc. Jan Kośmider, który do tego czasu pełnił funkcję prodziekana d/s studenckich w Wydziale Mechanicznym.

Nauczanie

Dnia 4 i 5 lutego odbyło się w Politechnice Wrocławskiej posiedzenie zespołu d/s Nowych Technik Nauczania przy Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki. Uczestnicy zapoznali się ze stosowanymi w naszej Uczelni nowymi technikami nauczania z zastosowaniem systemu WASC i najnowszych środków audiowizualnych. Przedstawiono również zamierzenia Uczelni w zakresie dalszego unowocześnienia dydaktyki. Uczestnicy zwiedzili sale wykładowe wyposażone przez Zakład Aparatury Naukowej i Dydaktycznej w pomoce audiowizualne oraz zespoły laboratoriów w Instytutach Budownictwa i Metrologii Elektrycznej.

Współpraca z zagranicą

W celu omówienia współpracy Wyższej Szkoły Inżynierskiej w Dreźnie z Politechniką Wrocławską na 1974 r., przebywał w dniach 31 I–3 II w Pionie Współpracy z Zagranicą – dypl. inż. Dölkner z WSI Drezno.

Dr Christian Görlach lektor z TU Drezno prowadzi zajęcia dla studentów Politechniki Wrocławskiej w Studium Języków Obcych.

W Wyższej Szkole Budownictwa w Lipsku, z okazji XX-lecia tej uczelni 12 i 13 lutego gościła delegacja Politechniki Wrocławskiej w składzie: rektor prof. T. Porębski, proroctor doc. B. Kędzia, I sekretarz KUP PZPR doc. A. Dzien-

Wizyty

Dnia 6 lutego przebywał z wizytą w Politechnice Wrocławskiej sekretarz KW PZPR – Janusz Owczarek i kierownik Wydziału Nauki i Oświaty – Stanisław Bakaj. Goście interesowali się sprawami unowocześniania dydaktyki i środkami technicznymi umożliwiającymi stosowanie nowatorskich metod w dydaktyce oraz doświadczeniami uzyskanymi przez naszą Uczelnię w tym zakresie.

W dniu 7 marca gościła w Politechnice Wrocławskiej grupa działaczy Komunistycznej Partii Hiszpanii z członkiem Komitetu Centralnego tow. Miguelem Segurą na czele. Podczas spotkania w Komitecie Uczelnianym PZPR, w którym wziął udział Rektor i sekretarze KU, przekazano gościom informacje na temat głównych kierunków pracy Uczelni i organizacji partyjnej. W spotkaniu wziął również udział kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KW PZPR tow. Stanisław Bakaj.

dział oraz studenckie zespoły artystyczne „Gest” i „Samy Swoi”.

Wyjazdy zagraniczne

— prof. Bohdan Głowiak z I-15 jako konsultant Ministerstwa Zdrowia przebywał w dniach 12–14 II br. w uzdrowisku w Jachymowie (CSRS) w celu zapoznania się z warunkami i możliwościami wykorzystania do celów leczniczych sztolni po kopalniach uranu. Wizyta odbyła się w związku z zamierzonym zorganizowaniem takiego ośrodka w sztolniach nieczynnych kopalń w Kowarach k. Jeleniej Góry. Aby zapoznać się z czeskimi osiągnięciami w zakresie balneotechniki przebywali na stażu od 1 do 28 lutego w uzdrowisku Jachymów — mgr Sławomir Posmyk i mgr Józef Pacyńska z I-15.

Sprawy Studenckie

Na naradzie dotyczącej spraw wychowawczych studentów, zorganizowanej 23 lutego przez Pion d/s Studenckich przeprowadzono zmiany w organizacji kolegialnych organów instytucyjnych do spraw wychowania stosownie do sugestii i wniosków zgłoszonych przez Radę Uczelnianą Młodzieży.

W Instytucie Chemiczno-Technologicznym w Sofii została podpisana umowa o współpracę w roku bieżącym między Radą Uczelnianą SZSP Politechniki Wrocławskiej i Komunistycznym Związkiem Młodzieży Instytutu Chemiczno-Technologicznego.

Konferencje

Dnia 15 lutego Instytut Układów Elektromaszynowych zorganizował sympozjum na temat „Silniki zanurzalne prądu zmiennego”. W konferencji wzięli udział m.in. przedstawiciele zakładów: Ema-Dolmel w Piechowicach, Leszczyńskiej Fabryki Pomp w Lesznie, Pomorskiej Odlewni i Emalierni w Grudziądzu.

Ogólnopolska konferencja naukowo-techniczna „Cyfrowe systemy sterowania” została zorganizowana w dniach 11–13 II br. przez Instytut Cybernetyki Technicznej Politechniki Wrocławskiej i Sekcję Szkolenia Polskiego Komitetu Pomiarów i Automatyki.

Sprawy socjalne

Spółdzielcze Zrzeszenie Budowy Domków Jednorodzinnych Politechniki Wrocławskiej ogłosiło listę 18 członków, dla których w bieżącym roku rozpocznie się budowę domków na Biskupinie.

Pion d/s Socjalnych ogłosił zapisy dzieci i młodzieży na letni wypoczynek. W tym roku na trzech turnusach kolonijnych w Karłowie, ośmiu obozach wędrownych i trzech obozach harcerskich przebywać będzie ok. 650 dzieci i młodzieży w wieku od 7 do 19 lat.

Notki informacyjne, które nie są sygnowane, pochodzą z biuletynu „Informacja Bieżąca” Politechniki Wrocławskiej.

Organizacje Społeczne

Rektor prof. T. Porębski spotkał się 22 lutego br. z aktywnym związkowym ZNP Politechniki Wrocławskiej i odpowiedział na pytania postawione kierownictwu Uczelni na spotkaniach prezydium Rady Zakładowej ZNP z zarządami rad oddziałowych. Rektor omówił szczegółowo m.in. zagadnienia plac, nagród i świadczeń socjalnych w świetle obowiązujących obecnie ramowych przepisów i polityki kierownictwa Uczelni w tym zakresie.

2 marca na zebraniu sprawozdawczo-wyborczym Oddziału PTTK przy Politechnice Wrocławskiej nowy Zarząd Oddziału PTTK wybrał przewodniczącym doc. Witolda Kazimierczaka, który pełnił tę funkcję w minionej kadencji.

Inne

Ukazało się pismo Rektora dotyczące ograniczeń rozmów międzymiastowych z połączeń automatycznych. Połączenia zamiejscowe uzyskuje się jedynie za pośrednictwem centrali Politechniki.

Ministerstwo Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki, CRZZ, NOT, PTE, ZG SZSP ogłaszają pod hasłem: *Młoda Myśl dla Kraju* ogólnopolski konkurs na najlepszą pracę dyplomową studentów wyższych uczelni w kraju. Informacji udzielają dyrekcje instytutów i dziekanaty.

Fragment pisma urzędowego skierowanego przez Instytut Warzywnictwa w Skierniewicach do Politechniki Wrocławskiej: „...ze względu na krótki termin w jakim musimy dostarczyć urealniony plan do Ministerstwa Rolnictwa prosimy o możliwie odwrotną odpowiedź”.

Uroczystości

Z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet podajemy kilka danych o zatrudnieniu kobiet w ogólnej liczbie pracowników politechniki.

Rok	Nauczyciele akademicy		Administr., obsługa, inż. techniczni, zakłady doświadczalne		Studenci	
	ogółem	kob.	ogółem	kob.	ogółem	kob.
1964	91	15	156	67	773	66
%	100	16,5	100	43	100	8,5
1973	1687	304	3254	1576	10691	2477
%	100	18	100	48,4	100	23

W końcu 1973 r. wśród 79 profesorów były 2 kobiety; wśród 207 docentów — 12 kobiet.

Pierwszą kobietą, która ukończyła studia w Politechnice Wrocławskiej była Hanna Orzeszkowska-Szlezak, absolwentka Oddziału Chemii Technicznej Wydziału Matematyki Fizyki i Chemii Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu, której wydano dyplom w 1950 r.

Pierwszą kobietą, której Politechnika nadała stopień doktora nauk technicznych jest prof. Zofia Skrowaczewska.

Czyny

Dnia 27 III br. obradowało Plenum KU PZPR Politechniki Wrocławskiej. Głównym tematem obrad były zagadnienia związane z wprowadzeniem w Politechnice Wrocławskiej nowego modelu dydaktycznego, realizowanego pod hasłem „Uniwersytet Techniczny”, a także z planem przedsięwzięć związanych z obchodami XXX-lecia PRL.

W podjętej uchwale Plenum wysoko oceniło wyniki dotychczasowych prac nad nowym modelem dydaktycznym Uczelni, których pierwszy bardzo ważny etap został właśnie zakończony.

Jak stwierdzono na Plenum, zostanie w Politechnice podjętych wiele cennych akcji i prac społecznych; m. in. studenci zadeklarowali się przepracować społecznie ok. 4000 dni roboczych porządkując tereny uczelni, podnosząc estetykę domów studenckich oraz pomagając na budowach prowadzonych przez uczelniany Zakład Remontowo-Budowlany. Młodzież studencka weźmie też udział w porządkowaniu grobów wybitnych Polaków, którzy wstawili się w walce o wyzwolenie i utrwalenie władzy ludowej w Polsce.

(—)

*

Uprzejmie zawiadamiamy, że Załoga Zakładu Remontowo-Budowlanego Politechniki Wrocławskiej podejmuje się przepracować w czynnie społecznym łącznie około 6.000 godzin w roku 1974 (po 30 godzin przez każdego pracownika) przy budowie budynku socjalno-biurowego naszego Zakładu. Niezależnie od podjętego społecznego czynu, Załoga zobowiązuje się do podniesienia efektywności i jakości wykonywanych robót.

Dyrektor Zakładu
inż. OLGA ORŁOWSKA

Z inicjatywy Organizacji Partyjnej PZPR Instytutu Inżynierii Ochrony Środowiska Politechniki Wrocławskiej i Instytutu Kształtowania Środowiska Oddziału Wrocławskiego wysunięta została propozycja społecznego opracowania technicznej koncepcji kompleksowej ochrony dla obszaru rejonu Śnieżnika. Do realizacji tego przedsięwzięcia zgłosił również swój udział Wrocławski Oddział Instytutu Turystyki.

Dyrektor Instytutu
prof. dr. hab. inż.
BOGDAN GŁOWIAK

*

Studenci Instytutu Technologii Budowy Maszyn uporządkowali teren pod budowę nowego gmachu swojego Instytutu. Prace trwały przez cały tydzień — dni poprzednie od 14-tej do 17-tej, w soboty — od 8-ej do 13-tej.

Czyn zainaugurowali 16 marca przedstawiciele Rady Instytutowej SZSP i członkowie Partii. W kolejne dni tygodnia do porządkowania terenu stawili się studenci różnych lat.



Inż. Olga Orłowska — kierownik Przedsiębiorstwa Remontowo-Budowlanego Politechniki z dużym uznaniem wyraża się o pracy i postawie studentów. Podkreśla zaangażowanie kol. Mariana Cyrka — v-ce przewodniczącego RISZSP (I-24) — inicjatora czynu.

Ich praca nie tylko przyspieszy w znacznym stopniu budowę nowego gmachu Instytutu, ale jest też pięknym przykładem dla innych.

DOR

Współpraca z przemysłem

Dnia 6 marca br. została podpisana umowa o współpracy pomiędzy Politechniką Wrocławską a Zjednoczeniem Kamieniołomów Drogowych we Wrocławiu. Podstawą formalną umowy jest Uchwała Rady Ministrów (Nr 108 z 1963 r.) w sprawie zasad współpracy pomiędzy szkołami wyższymi a jednostkami organizacyjnymi gospodarki uspołecznionej. Jej celem — ściślej powiązanie nauki z potrzebami gospodarki narodowej, w szczególności — Regionu Dolnego Śląska.

Współpraca będzie dotyczyć: szkolenia kadry naukowo-technicznej i naukowo-badawczej, prowadzenia prac naukowo-badawczych i wdrożeniowych, oraz rozwoju bazy naukowo-badawczej.

Politechnika Wrocławska zobowiązuje się w ramach umowy do:

- kształcenia kadry inżyniersko-technicznej dla potrzeb Zjednoczenia na Wydziałach Górniczym, Mechanicznym, Elektrycznym i Elektronicznym,
- uwzględnienia potrzeb zgłaszanych przez Zjednoczenie w zakresie organizowania i prowadzenia studiów podyplomowych i doktoranckich oraz prowadzenia przewodów doktorskich i habilitacyjnych,
- prowadzenia prac naukowo-badawczych i wdrożeniowych na rzecz jednostek organizacyjnych podległych Zjednoczeniu, według uzgodnionych rzeczowych i finansowych wieloletnich planów.

Zjednoczenie Kamieniołomów zobowiązuje się partycypować w nakładach inwestycyjnych przeznaczonych na rozwój bazy naukowo-badawczej i dydaktycznej (w tym na zakup aparatury). Zjednoczenie Kamieniołomów przeznaczy na ten cel w latach 1976–1978 15 mln złotych.

Umowa ze Zjednoczeniem Kamieniołomów jest kolejną, jedną z kilkunastu zawartych już przez Politechnikę Wrocławską umów o współpracy z Resortami, Zjednoczeniami i wielkimi przedsiębiorstwami przemysłowymi. Spośród ważniejszych można by przypomnieć umowy z Ministerstwem Przemysłu Chemicznego, ze Zjednoczeniem „Klima-Went” w Katowicach, Centralnym Ośrodkiem Projektowo-Badawczym Górnictwa Odkrywkowego POLTEGOR, Zjednoczeniem Przemysłu Budowy Urządzeń Chemicznych CHEMAK, Krajowym Biurem Informatyki, Wrocławskimi Zakładami Elektronicznymi MERA-ELWRO, Kombinatem DELTA-HYDRAL i Wrocławskim Zjednoczeniem Budownictwa.

EUGENIUSZ WNUCZAK

ZBoWiD

W dniu 25 marca br. odbył się we Wrocławiu VIII Okręgowy Zjazd ZBoWiD z udziałem członka Biura Politycznego KC PZPR, ministra obrony narodowej — gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego oraz przedstawicieli władz partyjnych i państwowych Wrocławia i województwa a także przedstawicieli dowództwa Śląskiego Okręgu Wojskowego.

Udekorowano 13 osób wysokimi odznaczeniami państwowymi i bojowymi, podsumowano działalność organizacji w ciągu ubiegłych pięciu lat i wytyczono kierunki dalszej pracy. Wybrano nowy Zarząd Okręgowy ZBoWiD we Wrocławiu oraz delegatów na V Kongres ZBoWiD, który odbędzie się w dniach 8 i 9 maja br. w Warszawie. W skład nowego Zarządu wszedł m. in. prof. Józef Goliński — prezes Koła ZBoWiD przy Politechnice Wrocławskiej, którego wybrano również jako delegata na V Kongres.

SERWIS INFORMACYJNY RU SZSP

W dniach 23–24 lutego 74 r. w Auli Politechniki Wrocławskiej odbył się Turniej Tańca Towarzyskiego o puchar JM Rektora Politechniki Wrocławskiej w klasach tanecznych: B, C, A + M. W turnieju startowało ogółem 29 par z Opola, Poznania, Gdańska, Warszawy i Wrocławia. A oto zwycięzcy: w klasie C: para J. Rembeliński i N. Gajewska (SKT Polit. Warszawska), II miejsce: A. Zbroja i K. Springer (SKT Polit. Wr.), klasa B: A. Mierzwa i B. Kamińska (SKT Polit. Wr.), klasa A + M: Andrzej i Janina Jakubowscy (AKT WDK Wrocław). Zwycięskie pary otrzymały puchary RU SZSP P.Wr., a puchar JM Rektora przypadł zwycięskiej parze klasy międzynarodowej. Całość zorganizowana i ciekawie poprowadzona została przez SKT RU SZSP Polit. Wr.

✱

Jeździmy po świecie, czyli:

22 II – 3 III – Eugeniusz Myszka (KU PZPR), A. Bombała, U. Dołęga – na delegacji w Bułgarii

21 II–2 III – J. Hendrysiak i zespół „Sami Swoi” – w Jugosławii

21 II–26 II – L. Koszałka – w NRF na Międzynarodowym Seminarium organizowanym przez Związek Młodzieży „Spartakus”.

✱

W dniach 8, 9, 10 III 1974 w Konradowie k/Lądka Zdr. odbyło się seminarium wyjazdowe 50-osobowej grupy aktywu studenckiego instytutów I-20 i I-13 wydziału Mechaniczno-Energetycznego. Seminarium to umożliwiło przedyskutowanie i opracowanie szeregu problemów związanych z działalnością Rad Instytutowych oraz grup działania. W czasie seminarium odbył się również konkurs na najlepszego „Politykusa”, wygrał go student I roku Wiesław Kała. Piękna pogoda umożliwiła także zwiedzenie grot w Radochowcu i okolicy. Przygotował i prowadził seminarium szef Rady Instytutowej I-20 Mirosław Frąckowiak.

H. KOWALSKI

✱

8 marca w klubie „Fosik” odbyła się podejrzana (bo bezpłatna) impreza ku czci naszych pięknych dam. Królował Sztudynger, a co za tym idzie – humor. Impreza na wskroś udana, więcej takich!

✱

Trwają przygotowania do bicia kolejnego rekordu świata, tym razem w jedzeniu pączków na czas (28 na 15 minut). Student I roku J.S. w trakcie ostatnich treningów pochłaniał regularnie 16 ... ano czekamy, czekamy.

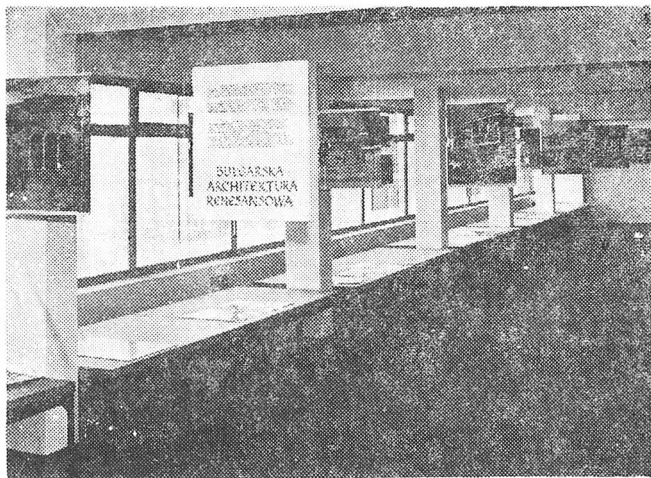
Sobota 23 lutego była dniem czynu społecznego mieszkańców D.S. „Nad Fosą”. Pod hasłem „Studenti swojemu miastu” przeprowadzono już 1400 roboczogodzin na rzecz Spółdzielni Mieszkaniowej nr 14 we Wrocławiu.

✱

Wreszcie dowiedzieliśmy się z kim mamy do czynienia... W dniach 9–10 III na Górze Św. Anny odbył się „Sabat Czarownic” zorganizowany przez I-13 JS dla uczczenia Dnia Kobiet.

W dniach 18–23 marca czynna była w Gmachu Głównym wystawa fotograficzna „Bułgarska Architektura Renesansowa”.

Fot. R. MAKOWSKI



Fot. L. KADZIEWICZ

11 III 74 r. rozpoczęła działalność Studencka Wszechnica Dziennikarska. Przewodniczącym SWD został Krzysztof Sokołowski. Na inauguracyjnym zebraniu zjawili się 70 studentów niemal z wszystkich uczelni wrocławskich. Program SWD przewiduje szereg spotkań z dziennikarzami i redaktorami. Po trzech miesiącach szkolenia odbędzie się egzamin sprawdzający zasób zdobytych wiadomości. W planie SWD są również obozy. Najlepsi ze środowiska akademickiego spotkają się na obozie dziennikarstwa zorganizowanym przez „Trybunę Ludu” i Express Wieczorny”. Wielu z nich odbędzie również praktyki w redakcjach dolnośląskich dzienników i studiach radiowych. Może ruszy nareszcie bliższa współpraca. Wszystko byłoby cudownie, gdyby nie pewne ale... Terminy szkoleń kolidują z zajęciami. Szkoda, że niektórzy muszą zrezygnować z tego powodu z uczestnictwa w SWD.

joko

✱

Klub studencki „Nad Fosą” jest na dobrej drodze powrotu na dawne wysokie miejsce we wrocławskim środowisku. Ostatnio odbyły się tu takie imprezy jak: wieczór muzyki poważnej, wieczorek przy świecach, wieczór poezji, występy Kwartetu Wiktora Zydronia. W planie kierownictwa klubu figuruje stała środowiska pozycja: „Traditional – jazz”. Warto przyjść i posłuchać nowości wrocławskiego podwórka.

✱

Do III rundy turnieju piłki nożnej na śniegu a-

wansowały drużyny: I-4 (z I-13 5 : 5), I-5 (z I-25 3 : 2), I-9 (z I-15 3 : 2), I-18 (z I-6 1 : 2) oraz I-19, I-20, I-27, I-29. Ponadto utworzone zostały ligi piłki nożnej. W I lidze grać będą drużyny awansujące do III Rundy PNnS.

✱

RU przybył jeszcze jeden „pełnoprawny” mężczyzna. 11 III odbył się ślub Jurka Kalety (przew. RU SZSP) ze śliczną medyczką Leną Swarc. Młodej parze – wszystkiemu najlepszemu.

Od 20 III co środę o godz. 19 odbywają się w klubie Inżynierii Sanitarnej spotkania zespołu „Sami Starzy”. Jego szefem muzycz-

nym jest doc. Albin Czernichowski. Zespół ciągle oczekuje przyływu nowych, świeżych sił muzycznych, wokalnych i literackich.

Fot. S. CIOSEK



ĆWIERĆ WIEKU W POLITECHNICE



1 lutego 1974 r. Ob. Ludwika Pierzchawka zakończyła 25 lat pracy na Politechnice Wrocławskiej. Do chwili obecnej pracuje na budynku B-4, Instytutu Technologii Budowy Maszyn na etacie portierki.

Zawsze uśmiechnięta, wesola, uprzejma, lubiana przez wszystkich, swą sumienną pracą, obowiązkowością zastąpiła w pełni na słowa uznania.

Ze swej strony składam Jej gratulacje i życzę dalszych sukcesów w pracy i w życiu osobistym.

Pisemko powyższej treści podpisane przez Administratorkę Budynku p. Marię Sokołowską wpłynęło na ręce kierownika Działu Administracyjnego Politechniki p. Edwarda Milera.

Niewielu ludzi może się wylegitymować tak długim stażem pracy w naszej Uczelni, no i tak dobrą opinią. Poprosiliśmy więc panią Ludwikę żeby powiedziała nam parę słów o swojej pracy, o życiu, które tak bardzo zazębia się z historią Politechniki.

Przyjechała do Wrocławia w 1946 roku. Przez dwa lata pracowała w elektrowni, W trzy lata później trafiła na naszą Uczelnię. Był to wybór prze-myślny. Tu pracował Jej mąż — bardzo ceniony hydraulik, szwagier i inni reprezentanci rodziny. Początkowo sprzątała w Gmachu Hutniczym, potem dla pani Ludwiki rozpoczął się okres, który wspomina najmilej: została woźną w Gmachu Hutniczym. Praca była znacznie bardziej urozmaicona, wymagała szerszych umiejętności i narzucała bogatszy zakres obowiązków. Ileż to razy pani Ludwika chodziła z pisem-

kami do Kwestury, do Rektoratu. Wiadomo... gdzie diabeł nie może... Podobno pani Ludwice udawało się uzyskiwać podpisy pod pismkami dotyczącymi najbardziej spornych i wątpliwych spraw. Umiała sobie zjednywać ludzi.

Opinia osoby milej i życzliwej towarzyszy Jej i w obecnej pracy. Od pięciu lat p. Pierzchawka pracuje w portierni budynku B-4. „Nasza Piszczalczka” — tak Ją nazywają. Pani Ludwika twierdzi zresztą, że ma wyjątkowe szczęście do ludzi. Ile razy przyjdzie do pracy smutna, czy zmęczona — wszyscy dopytują się, czy nie ma jakichś kłopotów, czy przypadkiem nie trzeba Jej w czymś pomóc.

Oprócz dość absorbującej pracy w Politechnice (dyżury w portierce przebiegają na dwie zmiany — od 6⁰⁰ do 14⁰⁰ lub od 14⁰⁰ do 22⁰⁰), pani Ludwika sporo czasu poświęca swojemu ogródkowi działkowemu. Ten ogródek, to jej chluba.

Chcielibyśmy przyłączyć się do życzeń p. Sokołowskiej i życzyć pani Ludwice kolejnych 25-ciu lat na Politechnice. Co najmniej takich jak poprzednie!

DOR

NASI NAJLEPSI



HALINA OFICJAL-SKA. W roku bieżącym kończy studia na Wydziale Inżynierii Sanitarnej (ze średnią 4,61 z całego okresu studiów oraz — 5,0 z ostatniej sesji). Od kilku lat otrzymuje nagrody rektorskie, a od IV roku studiów — stypendium naukowe. Praca, praca i... znajomość psychologii, to główne czynniki powodujące stały wzrost osiągniętych wyników. Dużą część okresu studiów przeznaczyła na pracę społeczną (przew. Komisji Kultury w RI, praca w SNS-ie i w Zakładzie Zaopatrywania w Wodę i Usuwania Ścieków), oraz na swoją pasję: teatr, literaturę i krzyżówkę.

Halina podejmuje pracę w „swoim” Instytucie, będzie miała pewną grupę ludzi, za których wyniki będzie odpowiadać, będzie miała tytuł magistra, ale chyba pozostanie nadal sobą: koleżeńską, sumienną i wyrozumiałą. Koledzy twierdzą, że nie należy do tych, co to „noszą się w chmurach”. I jeszcze jedno: jak donoszą źródła dobrze poinformowane, Halina ma zamiar uregulować swoje sprawy sercowe, lecz na przeszkodzie stoi chwilowo — oczywiście — mieszkanie. „Kanalarze” trzymać będą jednak kciuki za „swoją panią doktor” Powodzenia.

(emes)



Najlepsza studentka Instytutu Architektury i Urbanistyki to ELEONORA GONDA. Ostatnio otrzymała Specjalną Premię Naukową JM Rektora. W ostatnim semestrze uzyskała średnią 4,87. Pracowała w ZSP. Chętniej widziałaby w programie swego wydziału więcej przedmiotów związanych z zawodem bezpośrednio. Na wakacje wybiera się na IASTE — do Szwajcarii, co traktuje jako swego rodzaju wyróżnienie. Już z perspektywy absolwenta patrzy na swoje studia. Swego czasu pasjonowała ją „Czarne chmury” (wie ponoć, co to znaczy „Kaper”!). Jej hobby, to sztuka — głównie malarstwo. Nie pije, nie pali, nie...



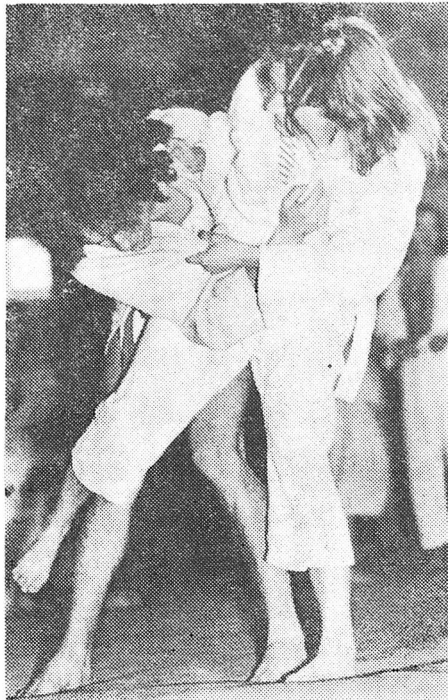
STANISŁAW GUBAŃSKI jest studentem V roku Wydziału Elektrycznego i równocześnie I roku Studium Doktoranckiego. Jako jedyny, ze swojego instytutu studiuje według indywidualnego programu studiów. Bez wątplenia jest najlepszym studentem w I-7 — średnia za dotychczasowy okres studiów 4,87! Siedem razy otrzymywał dotację JM Rektora. Jest dwukrotnym laureatem Konkursu Kopernikowskiego. Pracuje w SZSP, od IV roku również w SNS. Obecnie kontynuuje pracę naukową w

Zakładzie Elektrofizyki i Elektrotechnologii I-7. Jest wrogiem biurokracji w działalności naukowej studentów. Szeroko znane są jego nowatorskie koncepcje, dotyczące SNS-u. Proponuje utworzenie małych, maksimum 5-osobowych zespołów koleżeńskich z opiekunem, uwzględniając w tym studentów lat młodszych, wciąganych stopniowo w poważniejsze prace.



JAN OLENIECKI jest studentem III r. Wydziału Architektury Instytutu Urbanistyki i Architektury. Swoje dobre wyniki w nauce (średnia w ostatnim semestrze 4,54) — twierdzi Janek — zawdzięcza w 50% talentowi, w 50% szczęściu i aż w 90% ciężkiej pracy, studiowaniu niejednokrotnie wykraczającemu poza ramy szkolnych podręczników. Uczył się w Liceum Sztuk Plastycznych — stąd też jego zainteresowanie sztuką, w szczególności zaś malarstwem i muzyką (jazz). Myśli nawet o malej wystawie swoich prac, ale to jeszcze wymaga sporo pracy, tym bardziej że rok III nie jest łatwy (o czym już się zdążył przekonać). Poza tym Janek należy do tych, na których koledzy mogą zawsze liczyć, gdy trzeba coś wspólnie zorganizować. Teraz np. bierze udział w przygotowaniach do Dni Architektury. Mimo tak szerokich zainteresowań znajduje również czas na pracę w SNS-ie.

A.W.



Teraz akcja „począł się błyskawicznie. Przede wszystkim należało za wszelką cenę przekonać czynniki kompetentne, że zamiast wf-u możemy z powodzeniem uprawiać dzudo. Pani magister po kilku, formalnych raczej, protestach, iż to nie jest dla dziewcząt sekcja wiodąca, w końcu się zgodziła. Potem przypuściliśmy szturm na trenera sekcji — mgr Szemraj. Tutaj sprawa nie poszła tak gładko. Najpierw nie mogliśmy go odnaleźć. Podejrzewaliśmy, że już się gdzieś dowiedział o zamierzonej inwazji bab na sekcję i w związku z tym na wszelki wypadek woli nas nie widzieć na oczy. Wiedzione świętym zapalem czyhałyśmy nań w „gmachu” Studium, aż wreszcie skontaktowałyśmy się z trenerem telefonicznie. Odnosił się do nas z pełnym życzliwości pobłażaniem, uprzejmie przystał na nasze nalegania, poinformował o terminach treningów i odłożył słuchawkę z nabożnym pewnie życzeniem, aby nam przeszły te wymysły jak najszybciej — najlepiej jeszcze przed pierwszym treningiem.

Ale nam nie przeszło. Co więcej — przed przyjazdem na pierwszy trening poczęłyśmy drażnić ideologicznie Ewkę i Wandę, by je skaperować do sekcji. Pojechaliśmy na trening.

Koledzy powitali nas nad wyraz sceptycznie — „Ciekawe czy wytrzymają dwa tygodnie, czy dłużej?”. Na takie dictum pozostało nam tylko zacisnąć zęby i ćwiczyć. Rzeczywiście w ciągu tych pierwszych dwóch tygodni dostawaliśmy niesamowicie w kość. Dzuda było w tym jeszcze niewiele, a i z trudniejszych ćwiczeń, które wykonywali chłopcy, byliśmy zwolnione. Później się okazało, że mgr Szemraj chciał w ten sposób ułatwić nam zrozumienie faktu, że dzudo dla dziewczyn naprawdę nie jest sekcją wiodącą... Wkrótce dokooptowały do nas przekonane jednak ostatecznie Ewka i Wanda. Trener w dalszym ciągu spoglądał na nasze stadko nieufnie, ale już bez politowania.

Jeden za drugim postępowali żmudne treningi. Dzudo w wykonaniu tych, którzy je jako tako opanowali, ma w sobie coś widowiskowego, ale do tej formy dochodzi się przez czasami bardzo nieciekawe (wizualnie) ćwiczenia.

Najpierw musiałyśmy przejść przez szereg ćwiczeń siłowych. Nierzadko służyły nam do tego hantle i piłki lekarskie, czasami partnerka z pary, gdy chodziło o taczki „noszenie strażackie”, czy podobne. Potem nauczyłyśmy się przewrotów — początkowo bez przeszkody, później przez krzeselko. Następnie pady ze stania, z biegu, no i wreszcie rzuty. Po drodze poznałyśmy kilka chwytów samoobrony.

Pamiętam, z jakim podziwem patrzyłyśmy na naszych kolegów, którzy z łatwością wykonywali karkołomne rzuty. Na pewno każda z nas się zastanawiała — „Kiedy ja tak będę potrafić?” Jednocześnie starałyśmy się być czujne, bo trochę deprymował nas widok obandażowanych łokci, stóp, rąk, albo dość częste wypadki zwichnięć. Zresztą na wiele ta czujność się nie zdała, bo na początku też chadzałyśmy poobandażowywane, gdyż nie miałyśmy kimon, a pady kończyły się zawsze otarciem łokci. Teraz mamy już za sobą pewien staż. Wkroczyłyśmy w trzeci semestr treningów. Możemy więc sobie pozwolić na małe podsumowanie dotyczące naszej dwusemestralnej działalności w sekcji. Oto wnioski — spostrzeżenia:

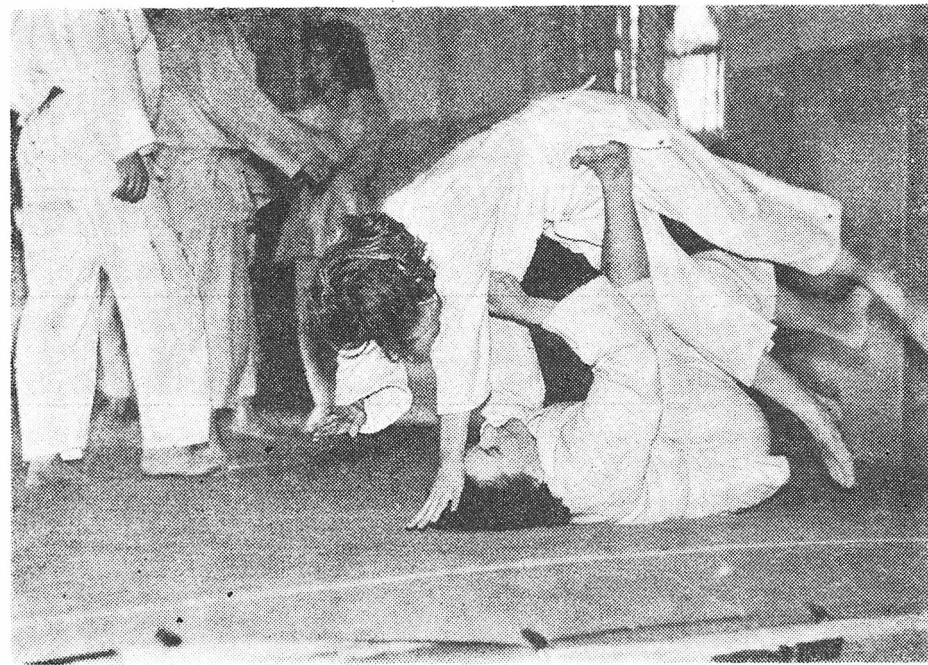
Wszyscy na pewno wiecie, że w Studium WF naszej Politechniki pośród wielu innych prowadzi również sekcję dzudo. Z założenia jest to dyscyplina wybitnie męska, ale że babę pośle... No właśnie... i tę sekcję opanowują pannie.

Trudno właściwie powiedzieć — opanowują, bo jest ich tylko cztery. Są to aktualnie na naszej uczelni jedyne kobiety trenujące dzudo. (gwoździł ścisłości muszę nadmienić, że były już prekursorki, ale wytrzymywały zazwyczaj tylko jeden semestr).

Wszystkie cztery rekrutują się z II roku Informatyki i Zarządzania (w ogóle), a trzy pobierają nauki na istniejącym przy tym wydziale Studium Informacji Naukowo-Technicznej (w szczególności). Oto one: Ewa, Gośka, Wanda i ja — niżej podpisana. Sądzę, że po tej prezentacji mogą opowiadać o losach zręcznej czwórki w kategoriach „my”.

Jak to się stało, że właśnie dzudo? Jeśli o mnie chodzi, to zawsze mierzyła mnie rola bezbronnej gęsi, a poza tym w dzielnicy w której mieszkam bardzo przydatną w praktyce okazuje się umiejętność samoobrony. Zdawałam sobie sprawę również z tego, że dzudo, to nie tylko pady i rzuty, ale szereg ćwiczeń ogólnie usportowiających. W połowie pierwszego semestru studiów powzięłam niezachwiane postanowienie, że będę trenować dzudo. Sęk tkwił w tym, iż nie bardzo wiedziałam gdzie znaleźć drugą chętną. Tu sprawdziła się zasada, że najciężniej pod latarnią. Koleżanka z grupy — Gośka też od dłuższego czasu tkliwie hochała w sobie zamiar zajęcia się tym sportem. Swoje marzenie pielęgnowała w cichości, bo też była pełna wątpliwości, czy znajdzie partnerkę. Przypadek dopiero spowodował, że w okrutnej tajemnicy zwierzyłyśmy się sobie ze swoich planów.

Zdjęcia: R. TUMANOWICZ



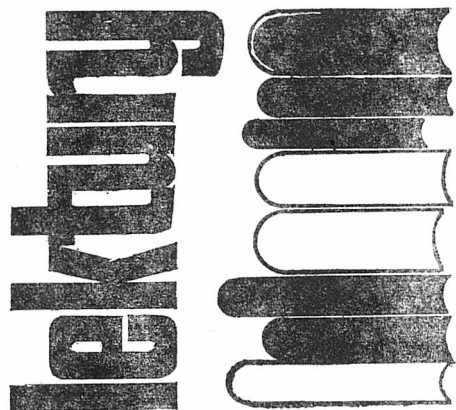
- Trener przyzwyczaił się do naszej obecności do tego stopnia, że w razie absencji (naszej oczywiście) sekcja momentalnie traci na uroku.
- My czujemy się pewniej, bo już cokolwiek umiemy — nie radzimy zaczynać!
- (Punkt związany z poprzednim) — Koledzy odczuwają przed nami pewien respekt.

Respekt wymieniony w punkcie ostatnim wynika stąd, że gdy któraś z nas nie ma pary, to bierze się za rzucanie chłopcami. Absolutną atrakcją w tej mierze są Ewa i Wanda, same będące wzrostu raczej niewielkiego, a rzucające blisko dwumetrowego Kazia. Próbuje się też staczać regularne walki. Podczas treningów przychylam ciekawostkę, która świadczy o tym, że czasy się jednak zmieniają — przed-

tem się mawiało: „Zamawiam sobie u pani jeden taniec”, a nasi koledzy (też džentelmeni) anonsują się słowami: „Zamawiam sobie u ciebie jedną walkę”.

Przy okazji pozwolę sobie na zamieszczenie czwartego wniosku: Sekcji brak kimon. Mam nadzieję, że Czynniki Kompetentne uwzględnią ten punkt.

GRAŻYNA SZCZOT



NIEOBO WIĄZKOWE

Uniwersalność — drogą do sukcesu

Popularność literatury iberoamerykańskiej jest faktem oczywistym i wynika nie tylko z aktywnej postawy tamtejszych wydawców, którzy decydują się na wysokie nakłady i reklamę o szerokim zasięgu, ale także uzależniona jest od twórczych realizacji charakteryzujących się humanitarnym widzeniem świata i nowatorskimi pomysłami w sferze konstrukcji utworów. Pisarze południowoamerykańscy zawdzięczają osiągnięcie wielkiego rozgłosu przede wszystkim uniwersalności swych dzieł, bowiem od uniwersalności zależy czytelność utworów literackich, a zainteresowanie nimi nie jest ograniczone przestrzennie i czasowo. Tacy pisarze jak J.L. Borges, J. Cortazar, C. Fuentes, E. Sabato podbili Europę nie dlatego, że skupili się na przekazywaniu ciekawostek etnograficznych, ale dlatego, że szukali istoty rzeczy ukrywającej się w człowieku, w jego świadomości, emocjach i stosunku do świata, szukali prawd uniwersalnych sprawdzalnych wszędzie i zawsze.

Gabriel Garcia Marquez autor opublikowanego przez WL opowiadania *Nie ma kto pisać do pułkownika*¹ znany jest z wcześniejszej pozycji pt. *W tym mieście nie ma złodziei*². Jest to pisarz, który zdał sobie sprawę z tego, iż egzotyka, to za mało, aby stworzyć pełne dzieło prozatorskie. Dlatego w jego opowiadaniu *Nie ma kto pisać do pułkownika* poza realiami życia niewielkiej osady położonej w bliżej nie określonym kraju Ameryki Południowej egzystuje inna jeszcze płaszczyzna zakodowana w psychice i świadomości głównej postaci — płaszczyzna prawd uniwersalnych. Prawdy objawione przez Marqueza nie należą do rzędu banalnych. Jego bohater, podobnie jak bohaterowie Conrada, nad wszystko ceni wierność sobie, honor, obowiązki i idee etyczne mając w pogardzie zdrowy rozsądek. Uniwersalność Marqueza nie ogranicza się do życia duchowego przedstawianych postaci, realizuje się ona

również w świecie otaczającym ludzi sprowadzonym przez pisarza do najprostszych mechanizmów cywilizacyjnych — przede wszystkim do rozgrywek politycznych. Owe rozgrywki polityczne są źródłem humorystycznych i groteskowych sytuacji, ale również determinują indywidualne losy ludzi, będąc przyczyną niejednej tragedii. Czołową postacią opowiadania — stary pułkownik — traci syna, związanego z tajną, zbrojną partią antyrządową. Jednakże staremu pułkownikowi pozostaje jeszcze kogut, chluba całego miasteczka, symbol praworządności, której się mieszkańcy wraz z pułkownikiem doczekać nie mogą. Marquez udowadnia, że ludzie znajdujący się na najniższym szczeblu drabiny społecznej są świadomi procesów politycznych lecz, nad czym ubolewa, nie mają na nie wpływu. Jeden z bohaterów mówi: *Odkąd zaprowadzili cenzurę, gazety nie piszą o niczym poza Europą... Niechby lepiej Europejczycy przyjechali tutaj, a my pojedźmy do Europy. Tym sposobem każdy dowie się, co się dzieje w jego kraju* (s. 23).

Natomiast pokaźna w rozmiarach, prawie siedmusetstronicowa powieść Mario Vargasa Llosa pt. *Rozmowa w „Katedrze”*³ napisana z wielkim rozmachem epickim ukazuje w przeciwieństwie do Marqueza mechanizmy polityczne latynoskiego państwa rozgrywające się na najwyższych szczeblach hierarchii społecznej — w elicie rządowej. Czytelnik otrzymuje wiarygodne potwierdzone przez prasę, informacje o przyczynach ciągłych przewrotów rządowych tak charakterystycznych dla tego rejonu świata. Pisarz dzięki oryginalnym chwytom kompozycyjnym kształtuje w wyobraźni czytelnika szeroką panoramę społeczną nie pozbawioną wątku sensacyjnego, pełną dynamiki. Na tym tle wyeksponowana jest działalność nielegalnych ugrupowań politycznych: apriistów (reprezentujących interesy ludności kolorowej) i komunistów. Nielegalna opozycja Pe-

ru, tam bowiem jest miejsce akcji powieści, jest dobrze zorganizowana i silna. Rząd zabezpiecza się przed jej wywrotową działalnością rozbudowaniem aparatu ministerstwa spraw wewnętrznych. Fabuła powieści *Rozmowa w „Katedrze”* oparta jest na wątku kryminalnym, który staje się pretekstem do opisu życia bogatych przemysłowców, studentów, marginesu społecznego i ludzi sprawujących władzę. Na kartach powieści obserwujemy krwawe stłumienie buntu młodzieży uniwersyteckiej, strajku robotników i rewolty apriistów. Pisarz ukazuje cynizm członków rządu, którzy kosztem zajmowanych stanowisk zdobywają milionowe fortuny. Zdaniem autora, ci którzy decydują się w jego kraju rządzić są podejrzeni pod względem moralnym, gdyż sprawowanie władzy równa się walce z rządzącymi, a to wymaga ofiar. Ten, który rządzi jest chroniony przez prawo i dlatego postępuje bezprawnie.

Powieść Mario Vargasa Llosa *Rozmowa w „Katedrze”* mieści się w kategoriach realistycznych. Element kreacyjny odnajdujemy w sferze konstrukcji utworu. Na sześciuset stronach akcja powieści dzieje się kilka godzin. Oto dwóch mężczyzn: biały i kolorowy spotykają się przypadkowo i spędzają popołudnie w podłej knajpie „Katedra”, przy alkoholu rozwiązują im się języki i zaczynają opowieść o swoim życiu. Pozornie nic w tym ciekawego, ale okazuje się, iż w miarę zagłębiania się w tekst, wszystko zaczyna się gmatwać, bowiem autor zastosował niecodzienną technikę narracji. Można by ją nazwać techniką symultaniczną. Polega ona na tym, że dzięki pewnym zabiegom czytelnik odnosi wrażenie, iż wydarzenia opowiadane przecież w ciągu linearnym a więc chronologicznym wcale nie następują po sobie, lecz dzieją się równocześnie. Na mniej więcej podobnej zasadzie konstruował narrację J.P. Sartre w *Drogach wolności*. Jednakże Mario Vargas Llosa bardziej skomplikował warstwą narracyjną, bowiem uczynił ją wielopoziomową. Oprócz dwóch zasadniczych narratorów prowadzących rozmowę w „Katedrze” dostrzegamy narratorów pobocznych, którzy są podrzędni wobec głównych i są wtedy przy głosie, kiedy dopuści ich narrator główny.

Dzięki symultanicznemu sposobowi narracji *Rozmowa w „Katedrze”* zyskuje na dynamice i przypomina film pełen zmieniających się obrazów.

KRYSTYNA HENZEL

- 1) Gabriel Garcia Marquez: *Nie ma kto pisać do pułkownika*. Przełożyła: Beata Babad-Gellusseau. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1973, s. 68.
- 2) Gabriel Garcia Marquez: *W tym mieście nie ma złodziei*. Przełożyła Zofia Chądzyńska. Czytelnik, Warszawa 1971, s. 152.
- 3) Mario Vargas Llosa: *Rozmowa w „Katedrze”*. Przełożyła Zofia Wasitowa. PIW, Warszawa 1973, s. 680.

Artykuł ten jest kontynuacją cyklu wspomnień pracowników Politechniki Wrocławskiej, uczestników walki o Polskę na różnych frontach II Wojny Światowej, zainicjowanego przez Koło ZBoWiD przy naszej Uczelni.

Jak za złotych dziesięć i groszy pięćdziesiąt poszedłem na wojnę (1)

Wiktor Wiśniowski

Na wiosnę 1939 r. otrzymałem zawiadomienie, że przewiduje się powołanie mnie na ćwiczenia wojskowe od 24 sierpnia w związku z czym należy odpowiednio ułożyć sobie sprawy osobiste lub — gdyby to było niemożliwe — prosić o odroczenie powołania.

Pracując wtedy od roku w Chemicznym Instytucie Badawczym w Warszawie, dokąd „dla chleba” przeniosłem się z adiunktury w Katedrze Pomiarów Maszyn Politechniki Lwowskiej, zabezpieczyłem sobie okres urlopu tak, aby przez Zakopane zdążyć na czas do Gródka Jagiellońskiego k. Lwowa; tam stacjonował mój macierzysty 26 pp. należący do lwowskiej V DP. Żona moja z rocznym synkiem pozostała w Warszawie.

Po przybyciu do Gródka zgłosiłem się do oficera personalnego, który przyjął mnie ze zdziwieniem, oświadczając, że przecież powołanie mnie na ćwiczenia zostało odwołane. Z dalszej rozmowy wynikało, że odpowiednie zawiadomienie wysłano do W-wy poprzedniego dnia, a więc gdybym nawet tam przebywał i stamtąd miał wyjechać, nie mógłbym go na czas otrzymać.

Będąc już na miejscu zaproponowałem odbycie mych ćwiczeń w poprzednio przewidzianym terminie. Po krótkim namyśle oficer jednak zdecydował, abym wracał do W-wy, zażądał przy tym zwrotu kredytowanego biletu na przejazd koleją do Gródka. Kiedy powiedziałem, że bilet oczywiście został wykorzystany, oświadczył mi, że ponieważ nie ma możliwości abym należność za bilet zwrócił, a chodzi o dość poważną kwotę 10,50 zł, wobec tego muszę już zostać.

Zgodnie z moją specjalnością „karabiniarza” skierowano mnie do 1 KCKM, w której 31 sierpnia zostałem zmobilizowany jako d-ca 1-go plutonu. I tak to 10,50 zł, za które poszedłem na wojnę, zaważyło na dalszych losach całego mego życia.

Mobilizacja pierwszego rzutu odbyła się sprawnie; dla rzutów dalszych brakło już pełnego etatowego wyposażenia wbrew lansowanemu wtedy sloganowi: „Zwarci, silni, gotowi”.

Po załadowaniu, 2 września wieczorem I baon ruszył okólną drogą przez Lwów, Zdobunów, Radziwiłłów, Warszawę, w kierunku na Pomorze. Na dworcu w Warszawie udało mi się dopaść do telefonu i zawiadomić rodzinę o tym, co się ze mną dzieje. Kierując się doświadczeniem z I wojny światowej stanowczo poleciłem pozostać na miejscu i nie podejmować żadnych prób ucieczki.

W Zegrzu zatrzymano nas i ku naszemu zdziwieniu zarządzono wylądowanie. Dalekie luno, widoczne na wieczornym niebie, były dla nas zupełnym zaskoczeniem.

W Zegrzu obsadziliśmy lewy brzeg Narwi. Przez most na niej przewalały się tłumy uciekinierów. Gdy ruch ustał, most wysadzono w powietrze.

Następnego dnia, po drugiej stronie rzeki ukazał się zmotoryzowany patrol niemiecki. Żołnierze z naszej kompanii strzeleckiej brawurowo, z małą wprost zrezygnacją przeszli po resztkach mostu na drugi brzeg i po krótkiej walce, bez własnych strat, wzięli patrol do niewoli wraz z rannym jego dowódcą.

Po zluzowaniu baonu przez formację Obrony Narodowej przerzucano nas w różne okolice woj. warszawskiego. Szliśmy przeważnie lasami; niektóre odkryte odcinki dróg były zawałone rozbitymi chłopskimi wozami, trupami końskimi i zniszczonym sprzętem domowym. Były to skutki nalotów „rycerskiej” Luftwaffe na uciekającą ludność.

W czasie tych wędrówek Niemcy zagarnęli nasze tabory; pozostało mi tylko to, co miałem na sobie i w plecaku na biedce karabinu maszynowego.

14 września rano znaleźliśmy się w W-wie. Pierwszy postój zarządzono w Parku Paderewskiego na Pradze. Uzys-



kawszy pozwolenie d-cy kompanii, skacząc z samochodu na samochód, gdyż komunikacja tramwajowa już nie działała, przedostałem się na Żolibórz, i w ten sam sposób później powróciłem. W domu nie zastałem nikogo; jak się dowiedziałem, żona z dzieckiem i teściową, która przyjechała ze Lwowa na czas mojej nieobecności, postanowiły mimo mego zakazu uciekać do Lwowa, dokąd po wielu ciężkich przeżyciach dotarły. Syn przypłacił tę ucieczkę życiem.

Straty wojenne w mojej rodzinie nie ograniczyły się do tego; wuj Niemcy zamęczyli w Majdanku, a jedną z ciotek, zamieszkałą w moim rodzinnym Starym Samborze, banderowcy wywieźli w zimową noc na śnieg i zarabiali ryskalamy.

Wieczorem 14 września zajęliśmy rejon kwaterowania przy ul. Żąbkowskiej, a następnego dnia przygotowaliśmy i obsadzili stanowiska bojowe przy Kawęczynskiej, licząc się z możliwością walk ulicznych. Ulice były zasypane małymi bombami zapalającymi, które nie wybuchły. Dom na Żąbkowskiej, w którym spędziłem noc, został na drugi dzień zbombardowany.

16 września w godzinach południowych baon nasz wyruszył na podstawę wyjściową do natarcia na zajęty przez Niemców Grochów. W drodze, w miejscu chwilowego postoju przy ruinach zniszczonego domu, dostaliśmy się w zasięg nękającego ognia niemieckiej artylerii.

Po przesunięciu baonu na podstawę wyjściową, ruszyło natarcie, bez wsparcia artyleryjskiego (!), przez teren zupełnie równy i otwarty, silnie ostrzeliwany szczególnie z broni maszynowej. W tej sytuacji obsada moich karabinów nie chciała podawać się do natarcia. Aby dać im przykład, z komendą „za mną” wysorowałem się naprzód. W chwili potem dostałem się w wiązkę pocisków z nieprzyjacielskiego kaemu; piasek pryskał wokół mnie na wszystkie strony jak pod uderzeniami bata. W krótkiej przerwie ostrzału udało mi się odskoczyć w bok i wtedy spostrzegłem, że jestem sam; ludzie pozostali ukryci w przydrożnym rowie; wracać po nich nie miało już sensu.

Po kilku chwilach spostrzegłem dochodzący do mnie karabin 3-go plutonu, dołączyłem do niego i po załamaniu się natarcia powróciłem na podstawę.

Batalion nie uzyskawszy żadnego sukcesu poniósł wtedy straty przekraczające 20%, co w opisanych warunkach było do przewidzenia. Co dowództwo chciało przez to beznadziejne natarcie osiągnąć — do dzisiaj nie wiem, bowiem gdyby nawet udało się nam dojść do Grochowa, to utrzymanie się tam było niemożliwe.

Następnego dnia zająłem z plutonem stanowiska na Dworcu Wschodnim w W-wie, gdzie pozostaliśmy aż do dnia kapitulacji. Wskutek silnego ostrzału artyleryjskiego łączność telefoniczna ciągle się urywała. Podziwiałem „druceików” naprawiających pod ogniem zerwane przewody i gońców donoszących strawę z dość odległego miejsca.

Przed moimi stanowiskami, które kontrolowałem parę razy na dobę, znajdowały się kryte wagony kolejowe z amunicją. Kolejjarze postanowili odciągnąć je spod artyleryjskiego ostrzału. Przed nadjeżdżającą po nie parową lokomotywą szli ludzie z siekierami, rozcinając leżącą na torach, zerwaną pociskami sieć elektryfikacyjną. Taki bywa na wojnie los różnych „wymysłów cywilizacji”.

Jeden z moich kaemów miał stanowisko na wieży ciśnienia. Pewnego ranka wychodząc stamtąd po nocnym ostrzeliwaniu naszego rejonu zobaczyłem pod ścianą, przy której spałem, 100-milimetrowy granat artyleryjski, który nie wybuchł. Tak po raz czwarty w ciągu niewielu dni kostucha złożyła mi wizytę.

Brak wody, żywności i amunicji oraz duże straty wśród bohatersko zachowującej się ludności spowodowane przez artylerię i lotnictwo niemieckie, skłoniły Dowództwo Obro-

ny W-wy do kapitulacji. 28 września złożyliśmy broń na wskazanych miejscach, a nazajutrz, zgodnie z otrzymanymi rozkazami, w zwartym szyku wymaszerowaliśmy pod niemieckim konwojem do Żyrardowa. Tu oficerów oddzielono od szeregowych. Szeregowych zwolniono, ale potem wyłapywano ich na drogach i kierowano do pracy przymusowej w Niemczech.

Niektórzy oficerowie nie wykonali rozkazu wymarszu ze swymi podkomendnymi i pozostali w W-wie. Później ich także wylapano i odstawiono do oflagów.

Na tym mógłbym może zakończyć moje wojenne wspomnienia; myślę jednak, że nie byłoby to słuszne.

Pobyt w nieprzyjacielskiej niewoli jest poza śmiercią, inwalidztwem czy szczęśliwym wyjściem z wojennych opresji, czwartym i bynajmniej nie najbezpieczniejszym wariantem żołnierskiej doli. Czasem traktuje się go niewłaściwie, jako coś poniżającego. Opinie takie mogą być usprawiedliwione tylko wtedy, gdy niewola jest następstwem zwykłego tchórzostwa. W wojsku okres niewoli uważa się za okres służby czynnej, z wynikającymi stąd żołnierskimi obowiązkami.

Ponieważ zaś nasze wspomnienia są przeznaczone przede wszystkim dla tych członków naszej politechnicznej społeczności, którzy z wojną nie mieli nic lub niewiele do czynienia, niechże się dowiedzą, jak może wyglądać ta mniej efektowna, ale stanowiąca nieraz poważną próbę charakteru strona żołnierskich przeżyć.

W Żyrardowie umieszczono nas na targowisku miejskim, gdzie biwakowaliśmy w fatalnych warunkach. Na skutek ciągłych interwencji gen. J. Zulaufa (przebywającego z nami d-cy V DP i Grupy Wschód), po kilku dniach przeprowadzono nas na dworzec i załadowano do pociągu osobowego, mającego powieźć nas „w nieznane”.

Jechaliśmy przez poznańskie. W Miliczu pierwszy raz zobaczyłem kolejarzy w niemieckich mundurach, niedługo potem przejechaliśmy przez Wrocław. Czy mogłem wtedy przypuszczać, że za 10 lat stanie się on moim miastem, z którym się tak silnie zwiąże?

Przez Głogów dotarliśmy do Berlina. Tu bezskutecznie wypatrywaliśmy śladów alianckich bombardowań, o których nam opowiadano. Z Berlina przez Wittenbergę dojechaliśmy do Nienburga nad Weserą, na północny zachód od Hanoweru; tu nastąpił kres naszej pierwszej przymusowej podróży.

W Nienburgu (Oflag XA) zakwaterowano nas w koszarach opuszczonych przez jakąś jednostkę skierowaną na front. Budynek nowocześnie wyposażony, w niczym nie przypominał naszych przedwojennych, pachnących starzyzną koszar. W salach były jeszcze firanki w oknach, ale spaliliśmy na podłodze na papierowych siennikach i zagłówkach. W czasie apeli „liczył” nas oficer niemiecki mówiący czystą polszczyzną, nazywał się — Wiśniewski.

Obóz ten dla wielu był tylko obozem przejściowym. W połowie listopada kilkuset oficerów z Obrony Warszawy i Helu (z admirałem Unrugiem) poprowadzono znów na dworzec, ale tym razem załadowano do wagonów towarowych z ustawionymi wewnątrz ławkami, z górnymi okienkami zabezpieczonymi drutem kolczastym. Zaczęła się moja druga podróż „w nieznane”.

Przejeżdżaliśmy przez Getyngę, Fuldę, Norymbergę, a więc w kierunku południowym. W Norymberdze wypuszczono nas

wreszcie — oczywiście pod strażą — z wagonów, co wykorzystaliśmy z podwójną satysfakcją — fizjologiczną i polityczną, gdyż działo się to na skraju hitlerowskiego „Pola Marsowego”.

Minąwszy Ratzbönę (Regensburg), a dalej — Bad Gastein (tak, tak, ten sienkiewiczowski) dojechaliśmy do miejscowości Spittal nad Drawą w Karyntii, gdzie nas umieszczono w drewnianych barakach letniego obozu wojskowego. Był to Oflag XVIII C.

Podczas tej podróży kilku kolegów próbowało ucieczki wyskakując w biegu z pociągu. Wkrótce jednak schwytano ich i odstawiono do obozu.

Obóz dzielił się na dwie nie łączące się z sobą części: większą — „West” i mniejszą — „Ost”. Do tej drugiej, obejmującej tylko 5 baraków mieszkalnych i jeden gospodarz, dostałem się wraz z około 300 oficerami, wśród których znaleźli się też oficerowie Marynarki Wojennej z admirałem Unrugiem.

Obóz był więc mały. Do tak ważnych w naszej sytuacji spacerów mieliśmy tylko jedną ścieżkę długości jakichś 100 m. Na południu — wysoki wał górski, za którym niedaleko biegła włoska granica, po drugiej stronie — wzgórze, za którym znajdowało się — podobno piękne — jezioro Milstädtersee. Na zachodzie widać było wysokie gniazda Alp, na wschodzie — pasmo Karawanek.

W barakach nie było wielkich wspólnych sal, co ułatwiała koleżeńskie współżycie. Gdy po pewnym czasie życie się unormowało, ludzie zaczęli szukać jakiegoś zajęcia; ci którzy mieli coś do powiedzenia byli proszeni o dzielenie się swymi wiadomościami z innymi. I tak np. późniejszy prof. Hryniewiecki prowadził wykłady z historii sztuki, ja — ze statyki wykresowej i analizy gazów itd.

W zimie, kilku kolegów, pokonawszy w nocy druty kolczaste, uciekło z obozu z nadzieją przedostania się przez góry do Włoch. Pościg zamienił się w ekspedycję ratunkową; znaleziono ich ledwie żywych, z odmrożonymi nogami, które trzeba było amputować.

Zajęcie przez Niemców Norwegii, a później Belgii było dla nas nowymi ciężkimi ciosami. Po klęsce Francji zaczęliśmy sobie zdawać sprawę z tego, że Kampania Wrześniowa, chociaż przegrana, uratowała jednak honor polskiego Narodu.

Mimo niedostatecznego wyżywienia (przeżyłem wtedy pierwszy okres głodu), drutów i ciasnoty, doskonały klimat i piękne górskie otoczenie dawały poczucie pewnej, choć iluzorycznej przeciw swobody i łagodziły w pewnym stopniu nasze przykre przeżycia.

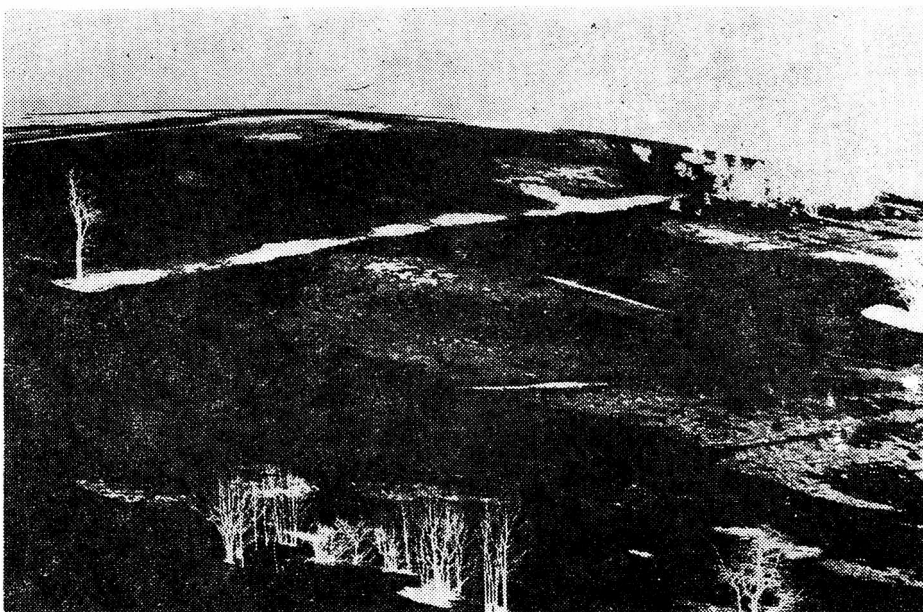
W połowie 1940 r. zapadła decyzja przeniesienia nas do innego obozu; dokąd? tego nam nie powiedziano. Grupa kolegów postanowiła wykorzystać ostatnią szansę ucieczki do Włoch lub Jugosławii (było już ciepło). Z pokoju położonego na końcu baraku w odległości kilku metrów od szosy zrobili podkop pod drutami. Wejście do niego maskowano szafą.

Niestety strop podkopu pod przydrożnym rowem, którego głębokości nie doceniono, okazał się za cienki i załamał się pod ciężarem myszującego tam wachmańskiego psa. Cały trud kopaczy poszedł na marne.

WIKTOR WIŚNIEWSKI

Dokończenie w następnym numerze.

Fot. E. BACZYŃSKA



Fraszki

Naiwny

*Dopóty żywi nadzieję,
dopóki się nie nadzieje.*

Przestroga

*Nie mów ho p!
gdyniski strop.*

Nawet

*i sprawiedliwości waga
też smarowania wymaga.*

Niejednego

*trud żalowy
— pójsie po rozum do głowy.*

Skąpy

*Dla pieniądzy...
żyje w nędzy.*



W rubryce tej, mającej charakter wolnej trybuny, twórcy i krytycy wrocławscy prezentować będą swoje poglądy na temat sztuki. Mamy nadzieję, że te — na ogół polemiczne — głosy wzbogacą wiecznie żywą w naszym środowisku dyskusję na temat kształtu współczesnej twórczości artystycznej.

Rację ma Tajemnica

Wiele osób pyta mnie, czy rzeczywiście Bolek Nowicki jest białym koniem, i w jakich to właściwie porach, chciałoby go wtedy zobaczyć. Następne pytania: jeżeli w innych moich wierszach występuje biały koń, to czy to jest Bolek Nowicki, czy po prostu biały koń, który jedynie kiedyś indziej, nie w tej sytuacji, co w wierszu, staje się Bolkiem Nowickim.

Rozproszę państwa ciekawość. Posłuchę się tu egzgezę wiersza: *Zmierzech wszelkich poetyckich wiosen*. Tylko trochę cierpliwości, a państwo będą wszystko wiedzieli. Wiersz ten zaczyna się od wersu: *Zapada noc: biały koń błąka się po parku zdrojowym*. A co ty wtedy robisz? *Kładasz się spać mamrocząc — potrzebne mi są oba klucze: Lucznik i Yeti*. Co to jest za osoba, do której autor zwraca się bezpośrednio? Czy on sam? Bardzo często przecież w myślach mówimy do siebie, zresztą to stary chwyt retoryczny, od dawna stosowany w sztuce. Powiem państwu tyle: jest to człowiek, który niebawem zostanie poetą. Ktoś zapyta: — czy można sobie tak założyć, jutro, nie, dopiero w niedzielę, już od niedzieli zostaje poetą? Niewątpliwie tak. Co pani mówi? Że dużo powołanych, mało wybranych. Ma pani rację. Ja też nie wiem, czy jestem wybrany, chociaż powołany na pewno, bo właśnie tym się w życiu zajmuję.

Ale przyjmijmy, proszę państwa, na moją odpowiedzialność, ten człowiek wie, że będzie poetą. On odbiera świat w kategoriach poetyckich, jest już taki z urodzenia, młdał na widok pierwszej dziewczyny, w której platonicznie się kochał, gdy padał deszcz, wydawało mu się w dzieciństwie, że to jego włosy wyciągają się z rozpacz w takie długie muzyczne struny i płaczą. I naprawdę jest wielkim zmartwieniem rodziców. Założę się, że każde z państwa określiłoby tego człowieka mianem: „taki poeta”, albo „wariat”. Jest więc poetą? No widzą państwo. Ale on jeszcze nie umie pisać. Język jego młodzieńczych nieporadnych wierszy nie jest tożsamy z językiem jego wnętrza.

Musi więc zburzyć ten stary język, a państwo wiedzą, że operacja ta jest

bolesna. Unicestwiając stary język swoich wierszy, unicestwia także siebie. Robi to pod osłoną nocy. Nie przyznaje się do żadnej strony swojej rozdwojonej jaźni. Obydwie: on sam i jego sobowtór wychodzą z hotelu i ruszają w przeciwnym kierunku. Jest to ten etap, o którym Rimbaud mówi: — rozprężenie wszystkich zmysłów. „I nawet snu nie ma, bo nie ma twoich wlosów”. Ale o tym etapie można powiedzieć też słowami psychologa — profesora Dąbrowskiego: dezintegracja pozytywna, bo nakierunkowana ku nowej wyższej integracji.

Bohater mojego wiersza staje się lustrem. Pani pyta, czy to jest możliwe. Proszę pani, w nocy wszystko jest możliwe. Dam pani radę, któreś nocy, już kiedy domownicy będą spali, mąż też, co, pani nie ma męża, tym lepiej, tym lepiej, więc kiedy wszyscy będą spali, niech pani będzie czujna, niech pani wytyczy słuch, może dostrzeże pani, niechby choć to było przez sekundę, że pani jest lustrem. Ale wróćmy do wiersza. W lustrze odbija się biały koń. Bohater jako lustro słyszy jego śpiew. I wyrusza już poeta, z misją. Jest to spacer po parku zdrojowym. Czy to konkretny park zdrojowy w jakimś uzdrowisku? W Polanicy na przykład. Cały świat jest parkiem zdrojowym. Nie sądzi pani? Ale to też jest ten park w Polanicy. A hotel? Dawniej mówiło się: gospoda. Hiszpański poeta powiedział, że świat jest gospodą, do której przyszlizmy na krótko. Pani ma słuszość, to źle, jak ktoś z domu robi hotel. Bo i tak dom nasz jest hotelem między narodzinami a śmiercią.

A więc poeta jako lustro odbija Tajemnicę Świata, które mogą się same wypowiedzieć jedynie jako prawdy poetyckie. Ale poeta się dziwi patrząc na siebie podczas spaceru w polanickim, niech pani będzie, parku zdrojowym. *Dlaczego to światło jest takie niewidzialne?* A jego rozmowa z przechodniami, którzy pokazują mu klucze: lucznik i yeti — jest próbą określenia, co to jest poezja. O co chodzi w tym zawołaniu: *musicie zwiększyć siłę uczucia*. Poezja bowiem polega na rozszerzaniu wrażliwości aż po ową kruchą

granice, za którą zaczyna się naiwność już nieświadoma.

Czy wystarcza być lustrem, aby być poetą? Trzeba także spojrzeć z zewnątrz na siebie jako lustro. Następny etap: poeta wraca do hotelu, patrzy na siebie z zewnątrz, konfrontuje siebie z innymi lustrami, „patrząc na oślepiąco jasne w oknie hotelu światło południa wydajesz radosny i długi okrzyk: — to przecież moje światło wewnętrzne jest tak bardzo widzialne”. I w tym momencie osiąga status prawdziwego poety. Tajemnice świata otwierają się przed nim, jest już w ścisłej łączności z nimi. Język jego wypowiedzi jest koherentny z jego językiem wewnętrznym. I jest tak, jakby poeta po prostu wrócił do siebie, zdobywając po drodze język. Że mętny, że pani też może sobie powiedzieć siedząc w swoim pokoju i patrząc w okno, albo idąc ulicą w upalny słoneczny dzień: — to przecież moje światło wewnętrzne jest tak bardzo widzialne”. Ale przecież pani nigdy tego nie mówiła. A teraz, jak pani usłyszała w wierszu? A może pani po prostu jest poetką? Ale Ale pani mówi: „ja też tak mogę”, jakby pani mówiła: „to takie łatwe”. Właśnie kiedy przyjdzie pani to powiedzieć z wielką trudnością, po prostu kiedy dla pani będzie cholernie trudno to powiedzieć. Jednak pani nadal się dziwi: — to na tym polega, tu ta cała tajemnica. No cóż, dobrze że pani się dziwi. Ale niech pani czyta wiersz uważnie, konsekwencje takiego utożsamiającego powiedzenia są straszne. *Z jakąż dziwną łatwością wkładasz i wyjmujesz swój grzebień z lustra*. Czy pani tak potrafi? W istocie poeta ma coś z Boga. Dlatego użyłem tu słów: *król życia*. Pani na pewno uważa, że król życia to taki, który ma dużo pieniędzy, samochód, willę, bywa w najdroższych lokalach i pije najdroższe koniaki. Nie? To dobrze, to dobrze.

Poeta nie wie jednak wszystkiego. Są takie utwory genialnych poetów, niech sobie pani przypomni choćby Szekspira, w obcowaniu z którym wydaje się, że jeszcze tylko krok, a autorzy wszystko nam powiedzą. Nie mówią jednak tego.

Tajemnica ma taki status egzystencjalny, że objawia się poprzez zakrycie.

Niech pani teraz spojrzysz na maszynopis mojego wiersza, na zakończenie. *Nie musisz więc czekać nocy // wyjdź teraz w dzień do parku zdrojowego // czy można bowiem jeszcze bardziej zwiększyć siłę uczucia? // i czyż ja — biały koń w twoich ustach nie śpię-wam?* Widzi pani. To nie ja monologuję na temat tego, jak stałem się poetą. Ja tu odbywam wieczór autorski, który ma na celu przybliżenie poezji do czytelników. Nie, to nie ma znaczenia, czy ktoś lubi konie, i to białe, czy nie. Czy ja jeżdżę konno? W dzieciństwie, które spędziłem na wsi, jeździłem na koniu razem z wujkiem. Aa, to państwo nagrywają moje wypowiedzi, bardzo mi miło.”

Od sympatycznych słuchaczy z Wlenia, nie, raczej z Leśnej, dostałem tekst mojej wypowiedzi na owym wieczorze, przepisany z taśmy magnetofonowej. Tą panią, która tak żarliwie ze mną dyskutowała, spotkałem onegdaj we Wrocławiu. Zresztą, to ona mnie poznała, ja jej nie pamiętałem. Niedługo po moim wieczorze zapisała się na kursy jeździeckie. I bardzo zasmakowała w tym sporcie. — Jaka jest jednak siła oddziaływania poezji — pomyślałem.

prezentacje

Big Band »Wrocław«



Fot. W. ALEKSIEWICZ

Big Band „Wrocław” — oczko w głowie wrocławskiego środowiska jazzowego — powstał w październiku 1970 roku. Głównymi organizatorami zespołu byli „weterani”: Julian Kurzawa, Włodzimierz Plaskota i Włodzimierz Wiński. Już po kilku miesiącach, pierwszy szef — Włodek Plaskota zrezygnował z prowadzenia Big Bandu, a kierownictwo przejął Zbigniew Piotrowski, który funkcję lidera spełnia do dziś.

Big band grupuje czołówkę wrocławskich jazzmanów. W jego skład wchodzi między innymi członkowie grup „*Samy Swoi*” i „*Spisek Sześciu*”. Swego czasu zespół związany był z wrocławską agencją artystyczną „Impart”. Odnosił także sukcesy na FAMIE. Big Band „Wrocław” jako zespół nigdy nie brał udziału w kolejnych konkursach „Jazz nad Odrą”, natomiast jego członkowie zdobywali nagrody i wyróżnienia za kompozycje. I tak np. efemeryda — „*Kupa WKJ*” (Big Band plus tzw. „dochodzący”) na festiwalu „JnO-72” otrzymuje nagrodę za kompozycję Kurzawy i Augustyna, na „JnO-73” wyróżniony zostaje zespół oraz kompozycja pt. „*Pożyczka*” Kurzawy i Razika.

Big Band jest zdobywcą „Złotej Tarki” — 73” (Turniej Zespołów Tradycyjnych organizowany przez warszawską „Stodolę”), mimo że z „traditional” nie wspólnego nie ma; gra raczej mainstream (linia łącząca elementy jazzu tradycyjnego i modern jazzu) z silnymi wpływami swingu.

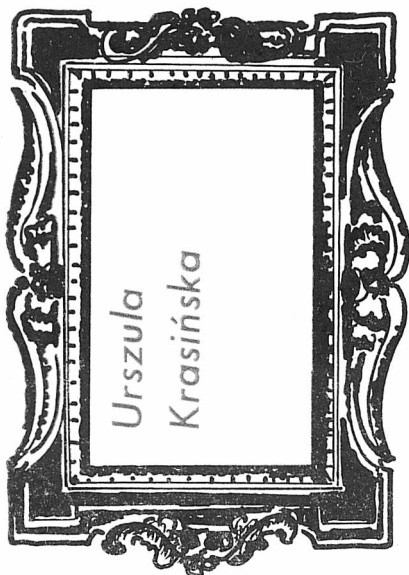
W ubiegłym roku na VIII Amatorskim Festiwalu Jazzowym w Prerowie (CSRS) wraz z zespołem „*Samy Swoi*” zdobywają złoty medal i tytuł ekstraklasy europejskiej, zaś utwór lidera Zbigniewa Piotrowskiego pt. „*Szarańcza*” uznany został za najlepszą kompozycję festiwalu. Zespół wystąpił ostatnio na „Jazz Jamboree” potwierdzając tym swoją mocną pozycję w polskim jazzie, a ich brawurowe opracowanie „*Swanee River*” na stałe zadomowiło się z tej okazji na antenie Polskiego Radia.

Grupa Piotrowskiego jest w zasadzie jedynym stałym big bandem w kraju, nie licząc zbierającego się tylko z okazji nagrań i ważniejszych „świąt” jazzowych — Studia Polskiego Radia — Ptaszyna Wróblewskiego czy już nie istniejącego de facto Big Bandu „Stodola”.

Big band „Wrocław” odszedł już daleko od formuły prezentowanej w Turnieju o „Złotą Tarkę”. Reprezentuje typowe brzmienie nowoczesnego big bandu. Wprowadzając ostatnio do składu altówkę elektryczną, zespół wyraźnie nawiązuje do jazz-rock, tworząc oryginalną koncepcję brzmieniową.

Patronat nad zespołem objęła ostatnio Rada Uczelniana SZSP Politechniki Wrocławskiej. Big Band często będzie gościł w naszych klubach, a na wszystkich większych imprezach studenckich będzie reprezentował naszą Uczelnię.

WOJCIECH ALEKSIEWICZ



NIEBIESKA



GŁOWA

Jest godzina dziewiąta. Jeśli zadzwonisz, to za godzinę lub dwie. Mogłam tę godzinę lub dwie przespać: będę czekać. Będę palić kiepskie papierosy nerwowo przeczucząc wzrok od telefonu do zegarka — dwa rekwizyty mojego czekania — zbliżam je do siebie (być może zacieśniam przestrzeń między czasem a nadzieją), i kiedy wpatruję się w nie uważnie, widzę dwa odbicia własnej twarzy (a moja twarz jest napięta aż po nerwowe drżenie warg i powiek). Na tle cyferblatu i zielonkawych wskazówek jej kontury łamią się i rysy są jakby przeszkłone; po drugiej stronie miękki plastik podchwycyło zaledwie linie przegina, rozchwiewa w mglisty, niedopowiedziany ślad; biorę papier, kredę i kolorowe ołówki: usiłuję przerysować. Za niecałe dwie godziny zadzwonisz. W twoim głosie posłyszę uśmiech: spłynie na mnie jasnym dreszczem — „Zaczekaj, będę za kwadrans” — będę czekać. Intensywnie i gwałtownie.

Dwa szkice w błękitnawo-sinych barwach, dwie błękitnawo-sine głowy. Szkoda, że papier nie jest przeźroczysty — ciekawe, jak wyglądałoby ich wzajemne przewarstwienie się (przekomponowanie)? Dwie twarze: metaliczna, cała w postrząskanych błyskach, a poprzez nią — prześwietlona i senna. Nigdy dotąd nie malowałam bez dłuższego namysłu, przynajmniej od czasu, kiedy serio zajęłam się malarstwem. Dobrze, że mam zagruntowane płótno, dobrze, że jest dopiero w pół do dziesiątej. Bardzo CHCĘ tego obrazu: przygotowując farby, pędzle i ołówki wiem o tym coraz lepiej.

Tonacja będzie błękitna aż po sterylność i głód, i będzie bardzo dużo światła i rozkojarzeń, i może... samoistnie wysnuje się jakiś zawrotny wątek... W niepewnej, błękitnej garnie JUŻ zagęszcza się coś, co się STAJE — przyczynkiem do sukcesu? do chwilowego uspokojenia? (to brzmi patetycznie) — Jakiś niedoistniały, nieświadomy siebie kształt WYBOLEWA się w OLSNIENIE (ku mnie? ku sobie?)

Zazwyczaj nie rozumiem własnych obrazów: zakres mojego pojmowania tylko częściowo pokrywa się z zakresem ich znaczeń. Przy pomocy pewnej spekulacji mogę sprowadzić do nich, a także wyprowadzić z nich cały mój subiektywny wszechświat — ze względu na potrzebę namalowania i wszystkie refleksje towarzyszące i przyszłe, ze względu na ich treść skomplikowaną o doznania innych; ów chaotyczny zbiór doznań sam w sobie jest już częścią obrazu — mnie prawie niedostępną.

A obraz, który właśnie maluję, jakby mimowolnie przyobleka się w błękit (jest w tym może raczej smętna i pełna melancholii chciwość) — błękit snuje się w krętych (pytających?) liniach przenikających się wzajem profili i włosów, owalów twarzy i parabolicznych łuków powiek. Ten obraz STAJE się (kompozycją barwy, kształtu i światła), a zarazem — UNICESTWIENIA się (zarzucając błędną nieskończoność niedopowiedzeń i przecząc z każdym pociągnięciem pędzla z czegoś rezygnuje, coś traci, aż po swą ostateczność, po punkt — z którego znów wyniknie nowa treść: forma, i będzie narastać aż po nieczytelność zgmatwanych doznań, aż po ich zarzucenie). Filozofia obrazu kształtuje się dynamicznie, symetrycznie, paradoksalnie. W gruncie rzeczy moje obrazy pomijają mnie poza lekkim muśnięciem. Człowiek, na którego czekam (nie po raz pierwszy) także przemyka się po mnie — zaledwie. Jakimś niuans — niezupełnym, po-

wierzchownym. Znamy tylko swoje skóry i ich dialog w rytm dłoni i warg.

Zbliża się godzina 11. Zaczynam jej nie chcieć. Przynie- sie mi moment zawieszenia (który, być może, rozwlecze się w minuty i kwadranse, czas w takich chwilach jest hojny), kiedy nie będę już czekać ani pragnąć, nie będę ani sobą, ani kimś innym — drżące ciało spowite dymem z taniego papieroska (a nawet już nie ciało, a jego oczekiwanie, i nawet nie czekanie, a niemożność INACZEJ). Odwracam zegar — to mało: zamykam go w bibliotece. Ta szarlataneria pozwa- la mi spędzić czas; poza zasięgiem wzroku i słuchu, uwięzio- ny między księgozbiorem (powtórzenie tej kombinacji jest mało prawdopodobne) a szkłem (które powtarza najzawilsze kombinacje) — czas w ograniczonej przestrzeni rozmienia się, narasta, pałęta.

Maluję mój obraz (dlaczego właśnie tak? dlaczego właśnie teraz?) — — — może każdy obraz się o siebie dopomina? Ist- nieje od POCZĄTKU, a moja przypadkowa chęć pozwala mu się tylko uzewnętrznicić, i to tylko w ułomnym aspek- cie — tyle ma ze mnie, ile w nim z formy (potraktowanej czysto technicznie). Czy może zmóc go moja nieudolność?

Maluję go bez kalkulacji. Maluję mój obraz, mój pierwszy w życiu autoportret — zarzucam podobieństwo — nie było go też w odbiciach — to on je odrzuca — nie rozumiem swo- jego obrazu: nic nie chcę przez niego powiedzieć.

W gruncie rzeczy czekam na niego (24 lata, wspaniała muskulatura, duże szare oczy) — dlaczego właśnie ON (a właśnie nikt inny!), dlaczego właśnie TAK (a właśnie nie inaczej!)?

Twoje dłonie przesuwają się po mnie niejednokrotnie i powtarzałam sobie wiele razy: „to niemożliwe, żebyś mnie nie kochał” — „jesteś jedyną dziewczyną, którą mógłbym kochać” — tryb warunkowy — pobłażliwie wybaczam tę nie- śmiałość czy asekurację — nie chcesz tandetnej serenady — w porządku, to jest racja, bo ja nie umiem nic oprócz ma- lowania — nie umiem kochać, tak bardzo nie umiem: wiem, jak farby mieszać i jak nakładać, ale oprócz tego nawet sie- bie nie umiem: czekam na twój głos i na twoje dłonie, tak bardzo czekam właśnie na ciebie, że sama jestem już tylko przyczynkiem, pretekstem — ZADZWON.

Czas wymyka się ograniczeniom, rozzuchwała się na wil- gotnym płótnie, wynika z każdej nowej plamy — „Niebieska Głowa” WCHŁANIA w siebie czas i zarazem go z siebie WYZWALA (jest jego odbiciem, metaforą?). Błękit obrazu boli, gnębi, zalega, obezwładnia. Błękitne pasma wyśmiewa- ją się z siebie nawzajem, by następnie — meandrycznie i nie- szczególnie — przenikać się i przepajać — wątła, anemiczna nostalgia, wsluchane w ciszę oczy — i oddech — na czole opalizuje miękkie ciepło — przesnuty białą niebieski blask — we włosach śni się błękitna zawiewa... w tle mglista tarcza i niemiłkący szept wskazówek...

Nawet nie wiesz, jak bardzo ty, a nie ktoś inny, pomimo ciebie, pomimo mnie — nie umiem kochać, ale maluję swą „Niebieską Głowę”, która uchyla się swojej i mojej świadomo- ści, a już pomyka dłońmi i głęboko oddycha — wywiał ją z siebie dwa niby — lustra, dwie niby — obecności, ona natęga się wewnętrznie, aby wyistnieć się ku rzeczywistości i potwierdzić się w niej — właśnie w tobie — mój wspaniały mężczyzno o złocistej skórze i równych białych zębach.

„Niebieska Głowa” jest już skończona. Niechętnie wyjmuję zegar z biblioteki — dzwoni telefon: „To ja. Dopiero te- raz. Wiesz, po prostu wyobrażałem sobie, że malujesz jakiś niezamierzony obraz”.

Wrocław, styczeń — luty 1974 rok.

URSZULA KRASIŃSKA

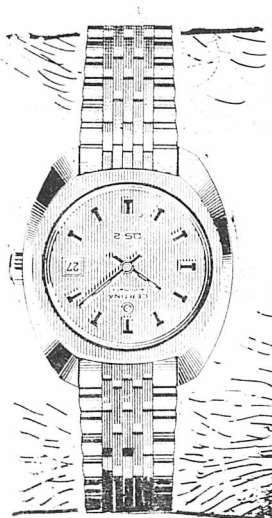
Fraszki tradycyjne

*Kiedys postowie mocno hałasowali na wiecach,
Więc sam marszałek sejmu przyłatł im laską po plecach.
Dlatego, pragnąc sobie zaskarbić marszałka laski,
Postowie wnoszą projekt do marszałkowskiej laski.*

*

*General, który wojnę przesiedział był w transzei,
W czasie ulew, mrozu, oraz śnieżnych zawiei,
Skąd wysłał rycerzy, podniecając ich zapal,
Nabawił się hemoroidów, lub też „wilka” złapał.
No i właśnie dla owych dyplomatycznych racji
Generalnej dziś znamy pojęcie operacji.*

HENRYK JAGODZIŃSKI



KRÓTKA POWIEŚĆ O WIELKIM UCZUCIU

Jerzy Gosiewski

Rozdział I

Swego czasu przemierzając pustkowie tarczy znaczonej smutnymi czarnymi cyframi dążyłaś Moja Mała Wskazówecz- ko do... SZCZĘŚCIA oznaczonego umownie liczbą DWANAŚ- CIE. Wiem co odczuwałaś, kiedy pnąc się wzwyż — ku prze- znaczeniu, drżeniem serca myślałaś: ŻE MIJAJĄC SZCZYT POWOLI (z właściwym Tobie niedostrzegalnym, ale i nie- powtarzalnym wdziękiem).

Przekroczysz go na próżno oczekując akordu potwierdzają- cego Spełnienie i całą doniosłość tego faktu. Takie rzeczy, choć przeciwne prawom naturalnej mechaniki świata — niestety! — zdarzają się jeszcze często w rozlicznych i rozre- gulowanych ZEGAROWYCH UKŁADACH SŁONECZNYCH!

Bez potrzeby oglądania się CZUŁAŚ — że pędzę za Tobą z szybkością, którą udawało się ukryć przed zawistnymi oczyma. Dramat tej sytuacji pogłębiło jeszcze jedno strasz- ne odkrycie. Okazało się, że nie jestem zbyt mocno osadzo- ny w mechanicznych akcesoriach i innych realiach naszego świata. Zwłaszcza ten bolesny zaczynający się coraz głębiej luz w osadzeniu na osi pionu, groził awarią i śmiercią nagłą! Mogło to nastąpić przez zaczepienie o twardą powierzchnię tarczy, na której wytyczony był NASZ WSPÓLNY SZLAK ŻYCIA...

Rozdział II

— Jakie to szczęście, że wszystkie obawy ostatecznie zamieniły się w pewność, a smutne zrządzenie losu stało się najwyższą radością ZNIERUCHOMIENIA w pełnym wzajem- nym ukochaniu. Bezwstydnie sycąc się sobą, zespoliliśmy się na całą wieczność. Wszak pokonałszy Czas i wyzwolili z jego rytmicznej niewoli. Stanowiliśmy odtąd Trójjedyną Jedność Boskiego Absolutu (bo po pierwsze, mimo wszystko każde stanowiło jedność a przesłaniając się wzajemnie, też jedność).

Jednakże, gdy BOGINI, która nakręcała nasz zegarowy układ słoneczny przestała obracać kołowrót przeznaczenia, pozbawiła nas tym samym wszelkich sił. Lodowa pokrywa wiecznego snu otoczyła nas jak śmierć w ciemnej galektyce zwanej ZAKURZONA SZUFLADA...

Rozdział III

Obudziliśmy się ożywieni pod cylindrycznym obiektem te- leskopowego spojrzenia BOGA-CYKLOPA... Bóstwo to le- czy układy słoneczne zegarów przy pomocy starej i astro- nomicznie niezgrabnej mechaniki precyzyjnej...

— Jaka jest diagnoza, Mistrzu...? — zapytała Bogini, wahu- jąc jeziora swych oczu strusimi i pawimi piórami rżęs.

Cyklop usunął na chwilę gigantyczny teleskop z bajecznie zielonego i sentymentalnego oka. Powiedział przy tym mięk- ko i współczująco, trochę jakby do siebie: „ZAWADZAJĄC MIŁOŚNIĘ O SIEBIE — ZATRZYMALI DLA SIEBIE CZAS — KOCHANI STRACENY” — a potem dodał szorstko i ofi- cjalnie:

— Naturalnie..! To da się naprawić na poczekaniu...

JERZY GOSIEWSKI

Janusz Styczeń

Podróż sentymentalna

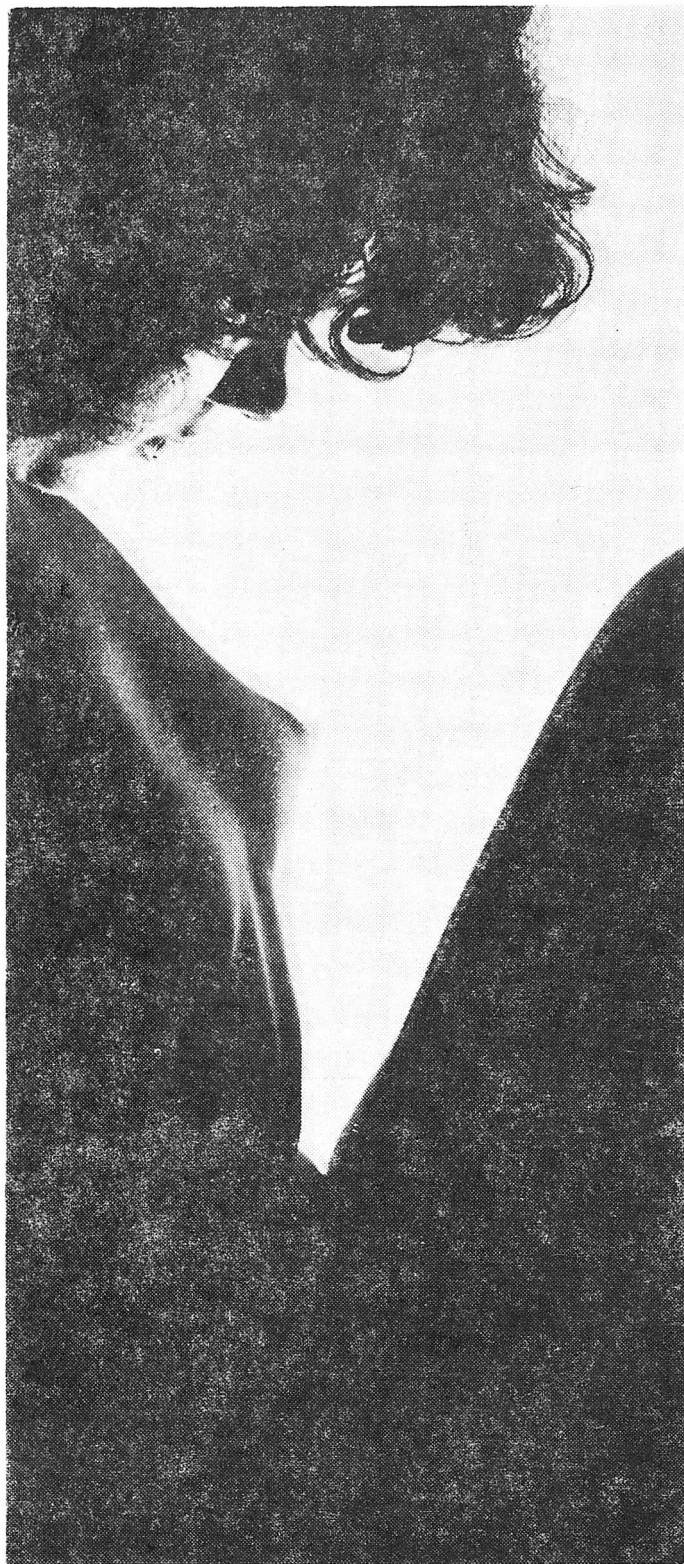
zdarzyło się to podczas spaceru
z powietrza wyciekło samo samo czucie
i jako wata czuciowa napelniło nam usta
miałem wrażenie że to taka głupota okresowa
poza tym nie ma ciekawszej rzeczy niż metodyka
wszyscy spacerowicze stawaliśmy się sentymentalni
po prostu wata czuciowa wystawała nam z ust
— ale może ta wata jest dziełem sztuki
zrodzonym przez powietrze —
— i to nas uratuje —
najpierw patrzyliśmy a potem niestety przyglądaliśmy się
— przerzucić tą watę czuciową nad przepaścią i przejść! —
czyżby była aż taką calością że przepaścią u tego
który krzyknął nie byłem pewny: może u niego
wata czuciowa jest dwustronna w jedną stronę przekazuje
obraz w obie dźwięk?
zapytałem go: — czy naprawdę czujesz okropny ciężar
uczuc? —
— to dlatego że próbowałem połknąć płacz — odpowiedział
ty natomiast chciałeś poddać się północy
— jak to robi we śnie każda gwiazda — szeptałeś
— prowadzona zimnym ostrzem swojego tajemnego źródła —
na mnie przyszła pospolita kleistość powiek
— zawsze robi się ciemno jak ktoś położy coś
na powietrznym stole — powiedziałem przez sen
po otwarciu powiek krzyknąłem — Kompozytorze!
to już nie wiek na epizody! —
krzyknąłem bo w sennym marzeniu uczulem
że my Jego odtwórcy osiągnęliśmy doskonale zespolenie
z osobowością Kompozytora

a może sami zamienimy watę czuciową w białe kwiaty
i staniami się na tym długim spacerze białokwiatowcami
i może wcale to nie jest trudne nawet
w jedynie znanej nam szkole konwencjonalnej

Podczas zrównania dnia z nocą

podróżujemy do dziwnego parku my wyjazdowi turyści
a tam z najczarniejszej gałęzi jeszcze nocnego drzewa
dojdzie nas zapach muzycznego pąka:
to białe słońce miłości wybuchnie i przesłoni nam usta
i chcąc zdążyć nim się nam odsłonią usta
ze skoncentrowanym pośpiechem powiemy sobie
o marzeniach najgłębszych i najbardziej utajonych
zresztą urwiemy jedno marzenie w pół snu
bo nasze przesłonięte białym słońcem miłości oczy
zobaczą samotnego labędzia pod nocnym drzewem
na nagle uciszonym źródle wód zmysłowych
— czyżby to była tak zwana biała woń? —
widząc pragnienie tak doskonale wcielone w symbol
zrozumiemy że wszystkie nasze marzenia są zbyteczne
wobec tego labędzia i chcąc zdążyć
nim białe słońce miłości zupełnie oczy nam odsłoni
z pospieszną koncentracją wpatrzmy się
jak labędź czerpie tą białą woń ze zmysłowego przecież
źródła i cały się nią napelnia
czujni póki białe słońce miłości przesłania
nam naszą wiedzę wewnętrzną
spiesznie bierzmy tą powszechną wiedzę powietrzną
aż nastąpi zmiana ethosu
(tak w rozumowym języku nazwiemy tą konfrontację)
i my z wyjazdowych turystów wiosenni muzykanci
wróćmy wypełnić gorliwie misję
niech zresztą jeden z nas ją nazwie
po prostu zwyczajnym rozbudzaniem ciekawości

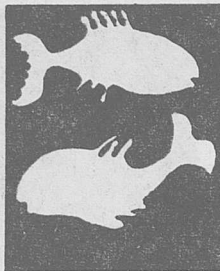
JANUSZ STYCZEŃ



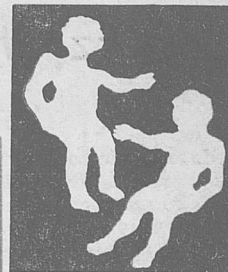
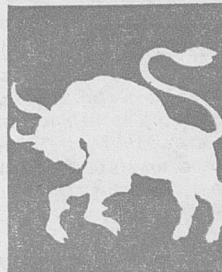
Fot. T. SZWED

Wydała Politechnika Wrocławska. Adres Redakcji: Wrocław, ul. Janiszewskiego 14 pok. 14/15, tel. 22-70-51 w. 240 (poczta wewnętrzna: P-9/S). Redaguje zespół w składzie: ERNEST DYCZEK (redaktor techniczny), JERZY GIRULSKI (redaktor naczelny), SŁAWOMIR HULANICKI, WOJCIECH KOZAK, MARIA MARCOLLA-WOŁCZEK (sekretarz redakcji), MAŁGORZATA MICHAŁAK, JANUSZ M. PAWLIKOWSKI (z-ca redaktora naczelnego), ZBIGNIEW SZTUBA, STANISŁAWA SZULC, TOMASZ WIELICKI, RYSZARD WOJTASZEK (z-ca red. naczelnego).

Opracowanie graficzne: STANISŁAW RYSZARD KORTYKA przy współpracy ANDRZEJA KLIMCZAK-DOBRZANIECKIEGO



Opracował: Jan Starża Dzierżbicki
Prezes Towarzystwa Astrologicznego



Kto urodził się



KWIETNIA

Urodziny te dają połączenie harmonijne serca i głowy — tj. uczucia z mózgiem. Im więcej dąży człowiek w kierunku uszlachetniania swych uczuć — tym wyższy poziom może osiągnąć. Rozwija się bowiem wewnętrznie przez swe uczucia i dzięki nim może w końcu osiągnąć znaczną potęgę psychiczną.

Jest to człowiek słoneczny, przeznaczony do kierowania innymi, wywierania na nich swego wpływu i poddawania otoczenia pod swą władzę.

Sil' życiowych ma zapas niezwykle — nieraz też trwoni je marnotrawnie.

Ma wrodzone zdolności do panowania nad umysłami innych ludzi i dzięki temu zajmuje przeważnie stanowiska kierownicze.

Ożywia go wielka ambicja i nieustanne pragnienie władzy, wobec czego stanowiska naczelne są dla niego odpowiednie niżeli podrzędne. Nieszczerólny z niego podwładny.

Wady. Mimo swe usposobienie filozoficzne i skłonność do rozmyślań głębokich, okazuje intensywne pożądania i gorący temperament. Często też staje się niewolnikiem własnych popędów.

Życie prowadzi dość dziwne. Niewielu tylko posiada przyjaciół i najczęściej nie są oni w stanie mu dopomóc.

Zdrowie swe zachowuje do późnej starości.



KWIETNIA

Stara się wszystkich pobudzić swym przykładem do czynu. Toteż otoczenie najczęściej okazuje mu zaufanie i poddaje się jego kierownictwu.

Jest to bowiem człowiek władczy, rządzący innymi, dążący do tego, aby się wybić za wszelką cenę. Jest tak postępowo nastrojony, że pragnie odrzucić wszelkie więzy tradycyjne, a nieraz nawet zrywa ze swą rodziną.

Bez żadnego wahania staje na czele innych — jest to jak gdyby jego prawo przyrodzone. Trzeba jednakże dodać, że odznacza się również wielkim poczuciem odpowiedzialności, jaką ponosi na swym kierowniczym stanowisku.

Dąży on bowiem do tego, aby oddziaływać na swe otoczenie, a gdy jest dostatecznie rozwinięty umysłowo i moralnie — może okazać mistrzostwo w rządzeniu innymi, a nawet i geniusz twórczy. Natomiast nierozwinięty — okazuje najczęściej tylko arogancję połączoną z ignorancją.

Jego ideały nie są skomplikowane, lecz nigdy nie są poławiczne. Nie może być żadnej wątpliwości co do tego, po jakiej stronie się opowie.

Zawód jego powinien być związany z polityką, życiem społecznym — chociaż w wojskowości, w przemyśle i technice również może osiągnąć powodzenie.

Gdy opanuje i zwycięży swe namietności — może osiągnąć wpływy i znaczenie i zająć w końcu stanowisko wybitne. Zwłaszcza dotyczy to wieku późniejszego, w którym zazwyczaj osiąga jakąś wyniesioną pozycję życiową.



KWIETNIA

Jest to człowiek stały i prawy. Aktywny, bardzo wrażliwy, jest wiernym towarzyszem, dobrym i ciepłym przyjacielem, nie dostrzegającym wad swych bliskich.

Gościnnie, wspaniałomyślny — osiąga w życiu powodzenie dzięki swym uczynom i dzielić zasługi społecznej. Zyska wielu przyjaciół, którzy

będą go cenić wysoko.

Charakter jego jest serdeczny, szlachetny, lojalny. Ma on jednak całkowitą świadomość zarówno swej siły jak i swych zdolności oraz zasług, odznacza się poczuciem swej godności osobistej i dąży do tego, aby osiągnąć uznanie ogólne.

Spotkanie takiego człowieka jest zawsze przyjemne, gdyż w towarzystwie jest stale bardzo wesoły i rozmowny. Chętnie też pomaga osobom pragnącym zainteresować społeczeństwo swymi poczynaniami.

Człowiek nierozwinięty, którego data urodzenia przypada na ten dzień przejawia zamiast odwagi, entuzjazmu i ufności w pomyślnie rezultaty swych poczynañ — co tak wyraźnie charakteryzuje typ wyższy — tylko niepokój, chaotyczność, fanatyzm.

Musi on być zawsze czymś zajęty. Gdy jednak nie znajduje odpowiedniego ujścia dla swej energii, zabiera się do każdej sprawy, jaka się nadarza, nie mając najmniejszego pojęcia, czy da sobie z nią radę, czy nie.

Zwłaszcza jego gorące pragnienie ujrzenia natychmiastowych rezultatów swych przedsięwzięć — jest dla niego wielką pokusą — sprowadzającą późniejsze niepowodzenia.



KWIETNIA

Charakter jego jest stały i zacięty — można na nim polegać.

Ostrożny jest zarówno w swych słowach jak i poczynaniach — i nadaje się wskutek tego do zajmowania stanowisk odpowiedzialnych, na których potrzebna jest duża pewność siebie i poczucie godności własnej — gdyż obie te cechy są w nim niezwykle silnie rozwinięte.

Kto urodził się dzisiaj — interesuje się wiedzą i ma skłonności do poważnych studiów. Stopniowo myśli jego stają się coraz bardziej poważne i głębokie i może wreszcie zdobyć wielką potęgę wewnętrzną.

Z wiekiem jednak staje się również coraz bardziej uparty i nieustępliwy.

Lubi on pogrążyć się w rozmyślaniach samotnych — a do obecnego stanu rzeczy, jaki panuje na świecie, nie czuje bynajmniej zbytniej sympatii.

Odznacza się też niezwykle energią, która jednakże najczęściej nie przejawia się na zewnątrz i znajduje się jakby w stanie ukrytym. Występuje ona na jaw dopiero przy podrażnieniu — a wówczas staje się niezwykle gwałtownym i niebezpiecznym przeciwnikiem.

Czuje przywiązanie do życia rodzinnego i nieraz jest dobrym mężem i ojcem.

Co mu grozi. Ze jego nadzieje się nie spełnią, a wysiłki życiowe natrafiają na przeciwdziałanie tak potężne, że nie będzie mógł go przezwyciężyć.